

Psychiatra, poeta, prezydent, zbrodniarz ścigany
przez międzynarodowy trybunał w Hadze - Radovan
Karadžić **str. 10**

„Niedźwiedź metafizyczny” - Zbigniew
Żakiewicz, laureat Gdańskiej Książki Wiosny 96
str. 6, 7

Czy pieniądze żydowskich ofiar holocaustu
ulożone w szwajcarskich bankach skonsumowała
CIA? **str. 9**

Jakim sposobem sześć drogocennych starodruków
zniknęło z Biblioteki Gdańskiej PAN **str. 18**

Piątek, 19 lipca 1996 r.

Nr 168 (15720) Rok LI ISSN 0137/9062 indeks 350028

DZIENNIK PAŃSTWA
magazyn

Rejsy

1071588



O tym, jak ojciec
Dominik, OP, nawracał
(w więzieniu) Vaclava
Havla na wiarę, jak się
użerał z adeptami sztuki
szpiegowania
str. 11

ATENY - ATLANTA

**DIWANY • TAPETY • PANELE
WYKŁADZINY**

SUPER OFERTA

WYKŁADZINA DYWANOWA EGIPT
Idealna do wszystkich pomieszczeń.
22⁹⁰
16⁹⁰ m²

WYKŁADZINA DYWANOWA ARIZONA
Najwyższa jakość, szerokość 3,66.
49⁹⁰
29⁹⁰ m²

nowe wzory
FE WYKŁADZINA PCV
Szerokość 2 m.
Wysoka jakość. Idealna do wszystkich pomieszczeń.
Cena promocyjna.
8⁹⁰ m²

atesty
WYKŁADZINA KONTRAKTOWA
Przeznaczona do biur, banków, szkół, hoteli itp.
STRONG
Szerokość 4 m.
najwyższa jakość

najnowsza kolekcja 96/97
200 wzorów DYWANÓW
polskie chińskie indyjskie

nowość w Polsce
PANELE PODŁOGOWE QUICK STEEP LIGHT
49⁹⁰ m²
5 lat gwarancji 5000 obrotów

najnowsze wzory
TAPETY
kuchenne, pokojowe, dziecięce, łazienkowe, raufaser, winylowe, zmywalne
już od **6⁹⁰** za rolkę

dobre WYKŁADZINY

KOMFORT

GDAŃSK - ul. Chłopska 53 • ul. Wały Jagiellońskie 28/30 i 34
GDYNIA - ul. Świętojańska 112
ELBLĄG - pl. Jagiellończyka 6

Informacja:  **0-800-56-00-7**
GRATIS

PEŁNE UBEZPIECZENIE W PZU ZA 2% WARTOŚCI + ZIELONA KARTA GRATIS.

Escort: 35.500.- zł. Odbiór natychmiastowy.

*1 DM=1.75 PLN.



BIG Autohandel

Autoryzowany Dealer

Salon Sprzedaży Samochodów i Części, Gdańsk, ul. Rajska 12, tel. 31 60 21
Gdańsk, ul. Czarny Dwór 12, tel.: (058) 53 36 43, fax (058) 53 05 21
Hurtownia Części - Dostawy bezpośrednio z fabryki
Samochody Używane, ul. Grunwaldzka 258 (róg Abrahama) tel. 0-90 50 16 10



Listy

Pieskie życie

Chciałabym podzielić się kilkoma refleksjami na temat uchwały Rady Miasta Gdańska odnośnie psów.

Na początku chcę zaznaczyć, że uchwała jest potrzebna i jestem jej zwolennikiem, że są sprawy, które chyba nie muszą być poddawane dyskusji - jak m.in. - obowiązek sprzątnięcia po swoich psach, zakaz wpuszczania psów do piaskownic, na place zabaw dzieci, jak w końcu sprawa smyczy czy kagańca. I najważniejsze - odpowiedzialność właściciela za swojego pupila. Ale jak każda uchwała czy zarządzenie, budzi pewne zastrzeżenia. Bezspornym faktem jest to, że psy były przyjaciółmi człowieka i będą mu towarzyszyć w życiu mimo różnych rygorystycznych zakazów. Chciałabym wierzyć, że wśród ludzi, którzy opracowywali tę uchwałę byli również miłośnicy zwierząt.

W tym miejscu chciałabym poruszyć sprawę zakazu dotyczącego wstępu psom na plażę od 2.05. do 15.09.1996.

Naturalnie plaża to miejsce relaksu, odpoczynku, słodkiego leniuchowania podczas upałów dla tysięcy ludzi, amatorów słońca i opalenizny. Ale plaża - to przecież również miejsce spacerów dla wszystkich (i starszych) w ciągu chłodnych dni, których jak każdego lata niestety nie brakuje w tzw. letnich miesiącach.

I tu, chciałabym zapytać, co stoi na przeszkodzie aby nie móc wybrać się z psem na spacer na plażę nie strzeżoną i kąpiel w morzu podczas tych chłodnych dni, kiedy przy temp. 17-19 stopni nie uświadczymy się na plaży opalających (chyba że „morsów”) lub po godz. np. 18-19 podczas upalnych dni? Ewentualne niedobitki lub amatorzy wieczornej kąpieli są nieliczni, a jeśli nawet - to zdarzają się najczęściej na plaży strzeżonej.

Jeśli chodzi o problem higieny - to przecież właściciel i tak jest zobowiązany do sprzątnięcia po swoim pupilu. A proszę wierzyć, że nie widziałam jeszcze psa, który kąpiąc się - pływając, jednocześnie załatwiał swoje potrzeby, w przeciwieństwie do kąpiących się ludzi. Na palcach można policzyć te matki, które swoje małe 2-4-latki prowadzą w „ustronne miejsce”, a WC na plaży - biorąc pod uwagę wielotysięczny tłum - jakoś nie jest non stop obłożony. Spacerując po plaży częściej niż w psią kupkę możemy wdepnąć w pozostawione przez ludzi śmieci.

Chciałabym podkreślić, że moje uwagi absolutnie nie dotyczą prowadzenia psa na plażę w upalne dni - zresztą, który prawdziwy miłośnik zwierząt mógłby je, każąc przebywać w upale kilka godzin. Chcę bronić psa, który cały dzień siedzi w nagrzanym słońcem mieszkaniu, któremu oferuje się „spacer” w kagańcu lub na smyczy. Nie każdy bowiem ma szczęście mieszkać w willi z ogrodem, mieć niedaleko do lasu i parku, albo posiadać samochód, aby gdzieś wyjechać.

Jeszcze jedna mała dygresja - dopóki nie miałam psa, jedynie plażowa pogoda dopingowała mnie do wypadu nad morze. Z psem bywałam na plaży i jesienią, i zimą. Każda pora - oprócz deszczu czy silnego wiatru, była dobra na wspólny spacer, na psią kąpiel nawet wczesną wiosną.

Dlaczego teraz komuś ma przeszkadzać mój wieczorny spacer z psem nad morzem?

Irena G.
Gdańsk

o tym
się mówi

Z czym się Pani/Panu kojarzy dzień 22 lipca?

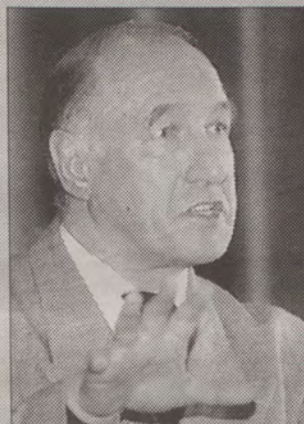


- Z dawnym świętem narodowym Polski. Pamiętam, że telewizja nadawała relacje z uroczystych obchodów tego święta. Nie oglądałam ich, bo cała moja rodzina wyjeżdżała tego dnia na wieś. Wolę kojarzyć 22 lipca z zapachem siana niż z telewizyjnymi transmisjami.

(af)

Teresa Bogusławska, technik rentgenowski z Gdańska

Fot. Maciej Kostun

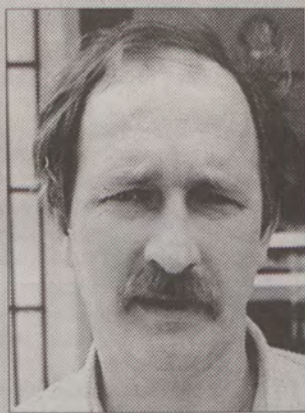


- To podchwytliwe pytanie. Kojarzy mi się, rzecz jasna, z dawnym świętem, ale i ze zbliżającą się olimpiadą. Podobno było to święto oszukane, bo manifest napisano wcześniej. A teraz 22 lipca czy całego świata będą skierowane na Atlantę. Mnie najbardziej interesuje koszykówka i lekkoatletyka. Moim zdaniem ta olimpiada - w stulecie nowożytnego ruchu olimpijskiego - powinna odbywać się w Atenach, a ta następna, w roku dwutysięcznym, w Atlancie.

(R.W.)

Prof. Jerzy Młynarczyk, specjalista prawa międzynarodowego

Fot. Robert Kwiatek



- 22 lipca już z niczym mi się nie kojarzy. To co było, przeszło już do historii i nikt do tego nie wraca. W przeszłości był to jeszcze jeden wolny dzień, kiedy zamknięta była większość sklepów. Teraz jest to taki sam dzień pełen obowiązków, jak każdy inny.

(R.W.)

Andrzej Paradowski, rzemieślnik

Fot. Maciej Kostun



- To był szalenie pracowity dzień z racji wielu koncertów. Toteż kojarzy mi się wyłącznie z jednym - z licznymi koncertami, w których brałam udział z najlepszymi koleżankami i kolegami... Absolutnie z niczym innym nie kojarzę tego dnia; z reguły zawsze pogodnego, słonecznego. Bo jak inaczej może tamten dzień wspominać artysta? Nie mam racji?...

(TG)

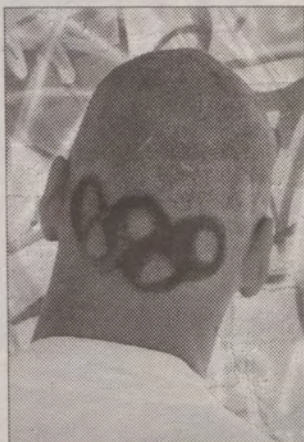
Józefina Pellegrini, emerytowana aktorka Teatru Syrena w Warszawie, autorka książek o znakach Zodiaku i przewidywaniu przyszłości

Fot. Tadeusz Gruchalla

magazyn Rejsy

19 czerwca 1996

Od redaktora



W kółka olimpijskie golony niemiecki wioślarz Andreas Steiner. Fot. PAP/CAF

**Sto lat nowożytnych
igrzysk od Aten do
Atlanty
w kalejdoskopie;
Atlanta za pięć
dwunasta -
str. 12 - 15**

„Olimpiady kobiece byłyby nieinteresujące, nieestetyczne i nieprzyzwoite. Prawdziwym herosem olimpijskim jest dorosły mężczyzna”. Nie jest to bynajmniej fragment płomienno-kazania jakiegoś islamskiego imama. Słowa te wypowiedział nie kto inny jak twórca nowożytnych igrzysk olimpijskich, inicjator „ducha olimpijskiego”, Pierre de Coubertin.

Trudno o fatalniejsze faux pas. Olimpiady bez kobiet dopiero byłyby trzy razy „n” wg pana Coubertin! Bo w pięknie „ducha olimpijskiego” zawiera się i piękno rywalizacji, i fizyczny powab sportowych pań. No, powiedzmy, nie wszystkich. Ale wspomnieć tu by można choćby nasze panie, które obok medali zdobywały tytuły miss lekkoatletek: Halinę Konopacką, Teresę Sukniewicz, Teresę Folę...

Tak więc nie ma olimpiady bez kobiet. Ale i bez mężczyzn też. Bez sportowców obu płci. Bez działaczy, trenerów, lekarzy, sędziów... Bez sponsorów, menedżerów. Bez, oczywiście, widzów. Bez nas dziennikarzy wreszcie, którzy olimpijskie igrzyska przekazujemy całemu światu. Toteż chyba nikogo nie zdziwi, że dziś, gdy startuje Atlanta, igrzyskom „Rejsy” poświęcają szczególną uwagę.

Przecież, tradycyjnie, nie całą. Gościmy u siebie Polaków z Kazachstanu i Polaka z Kresów, Zbigniewa Żakiewicza - ze szczególnej okazji. Poetę zbrodniarza z Serbii i więźnia dominikanina z Pragi. Namawiamy: rusz się w swoje okolice i sami wyruszamy. Zapraszamy do Egiptu, a przy okazji (już blisko) do Sudanu. A i to nie wszystko. Życzymy pogodnej lektury!

Tadeusz Skutnik



Rys. Zbigniew Jajka

Rejsy

Redagują: Aleksandra Paprocka, Tadeusz Skutnik (kierownik).
Opracowanie graficzne: Krzysztof Ignatowicz, Studio BUM.
Stale współpracują: Piotr Dominiak, Grzegorz Kurkiewicz,
Jerzy Samp, Janina Wieczerska.
Tel. 31-79-26; 31-50-41 w. 350, 351

Nasze rozmowy

Atlanta to 271 konkurencji, 10 tysięcy sportowców i 17 tysięcy przedstawicieli prasy, radia i telewizji.

Z olimpijskim sędzią głównym konkurencji pływackich w Atlancie Bogdanem Ciundziewickim, rozmawia Paweł Kowalski



Bogdan Ciundziewicki, lat 61, żonaty, ma dwóch synów i trzy córki. Gdańszczanin od 1948 r. Pracownik Polskiego Rejestru Statków - kierownik biura handlowego i marketingu. Pływak AZS Gdańsk i Floty Gdynia w latach 1950-1963. Wcześniej, bo na początku kariery zawodniczej nabył uprawnień sędziego pływania. Jako działacz przeszedł wszystkie szczeble. Od 1972 r. do chwili obecnej prezes Gdańskiego Okręgowego Związku Pływackiego i wiceprezes Polskiego Związku Pływackiego. Od 1978 członek europejskich władz pływania, a następnie po dziś dzień członek Komitetu Technicznego Światowej Federacji Pływania (FINA). Sędzia pływania na wielu imprezach najwyższej rangi i oczywiście na igrzyskach olimpijskich: w Moskwie 1980, Los Angeles 1984, Seulu 1988 (jako główny), Barcelonie 1992 i teraz w Atlancie (jako główny).

Olimpijska pływalnia, na której rządził będzie sędzia Bogdan Ciundziewicki. Fot. PAP/CAF

Fot. Robert Kwiatk

Jego piąte igrzyska

- Co konkretnie robi na igrzyskach olimpijskich sędzia główny, o czym decyduje?

- Zaczyna od odpraw z kierownikami ekip i z sędziami. Na pływalni jest jakby carem i bogiem, rządzi i rozstrzyga o wszystkim, decyduje jednoosobowo o ewentualnej dyskwalifikacji, przy czym w razie protestu sprawę rozpatruje jury d' appell. Decyzję musi główny arbiter podjąć szybko, omal błyskawicznie. Sędzią głównym nie może zostać wybrany nikt spoza członków światowych władz pływania.

- Proszę o krótkie wspomnienia z czterech igrzysk olimpijskich, na których pan był, o ich lapidarne charakterystyki.

- Każde igrzyska to chyba dla każdego ogromne przeżycie. Debiutowałem w Moskwie. Zachód zbojkotował te igrzyska za to że armia radziecka interweniowała w Afganistanie. Na pływalni wszystko przebiegało normalnie. Pamiętam, że jak się z hotelu udawaliśmy autokarem na pływalnię, to po wyjściu z niego szliśmy na obiekt w szpale-

rze wojska. Miasto mogliśmy jednak zwiedzać bez asysty kogokolwiek. Wraz z ekipą polską cieszyłem się zwłaszcza ze złotego medalu Władysława Kozakiewicza w skoku o tyczce. Gdynianin musiał rywalizować nie tylko z konkurentami ale także z szowinistyczną, źle mu życzącą widownią.

Igrzyska w Los Angeles, które z kolei zbojkotował Wschód, wspominam jako imprezę bardzo skomputeryzowaną. Każdy miał swoje wejście do komputera i mógł korzystać z interesujących go materiałów. Cudowny był lot nad stadionem skoczka, z silnikiem odrzutowym w plecaku; lot spod znicza i lądowanie.

- A Seul i Barcelona?

- W Seulu dostąpiłem zaszczytu bycia sędzią głównym. Przed igrzyskami wydelegowany zostałem przez Międzynarodowy Komitet Olimpijski do prowadzenia szkolenia działaczy koreańskich. Przyjmowano mnie tam i traktowano jak jakiegoś udzielnego księcia. Miałem do dyspozycji hostessę, samochód z kierowcą, tłumacza i dyrektora protokołu, a także

ochroniarza, który później opiekował się prezydentem Światowej Federacji Pływackiej FINA, gdy ten przyjechał na igrzyska. Poczuję się wtedy wolny jak ptak. Nie zapomnę motocyklistów, pilotujących pojazdy olimpijskich oficjeli, sędziów głównych itp. Mknęli cały czas z szybkością 80 - 100 km, nie zwracając uwagi na światła. Igrzyska miały absolutny priorytet. Dwa tygodnie przed zmaganiem olimpijskimi szkoliłem sędziów. Byłem wówczas w Seulu, w środowiskach działaczy osobą bardzo już znaną. Czwarte moje igrzyska - w Barcelonie - wspominałem jako popis improwizacji. Były trochę bałaganiarskie, ale atmosfera była na nich wspaniała.

- Teraz Atlanta... Ile potrzebuje pan czasu, by na dobre zaaklimatyzować się na drugiej półkuli?

- Byłem tam już w lutym tego roku, prowadziłem szkolenie sędziów z całego świata, podobnie jak w 1993 roku w Colorado Springs. Nie muszę jakoś przechodzić aklimatyzacji, gdy udaję się z Polski

na Zachód. Znoszę takie przemieszczenia dobrze. Gorzej było, gdy udawałem się do krajów Wschodu. Tam „przestawka” czasu dawała mi się we znaki, chociaż nie aż tak bardzo. A propos Atlanty. Pogoda była tam w lutym niezwykle zmienna. Jednego dnia śnieg, potężna zawieja, a następnego piękna słoneczna pogoda.

- A pływalnia, na której będzie pan rządził?

- Jest bardzo ładna, nowoczesna, z widownią na 10 tysięcy osób.

- Czy pana zdaniem program olimpijski nie jest przeładowany? 271 konkurencji, w których wręczone zostaną medale, 10 tysięcy sportowców i 17 tysięcy przedstawicieli prasy, radia i telewizji. 1,7 miliarda dolarów, jakie wydatkowano w ramach kosztów organizacyjnych. Czy to nie jest jakaś szaleńcza pogoda za rekordami?

- Międzynarodowy Komitet Olimpijski rozpatruje te sprawy i przeważa tendencja do rozumnego ich regulowania tak, by nie rozrastał się ten olimpijski już moloch do niemożliwych - jak by to

świątyni w swoim czasie felietonista Wiech powiedział - granic. Widoczna jest sprzeczność interesów MKOl i międzynarodowych federacji poszczególnych dyscyplin. Federacje są zainteresowane przeformowaniem pewnych konkurencji, dodaniem ich do programu igrzysk, np. federacja pływacka chce, aby wprowadzono dystanse 50-metrowe, a MKOl stawia opór, mówi stop. Z drugiej strony ogranicznikiem są limity czasowe i wynikowe, co redukuje liczbę uczestników. Problem nie jest łatwy do uregulowania, ale uregulowany do końca być powinien.

- Skąd się wzięło u pana zainteresowanie pływaniem?

- Spróbowałem późno; w wieku 16 lat. Jako student Politechniki Gdańskiej występowałem w barwach AZS, a później we Flocie Gdynia, gdzie panowała fantastyczna atmosfera do pływania. Doskonaliłem umiejętności w stylu klasycznym, zwłaszcza na 200 metrów, pod kierunkiem znakomitego trenera, Franciszka Marchlewskiego.

Wtedy w latach pięćdziesiątych na mecze w ramach Pucharu Miast przychodziły na 20-metrową pływalnię Szkoły Morskiej w Gdyni tłumy widzów. Program takiego meczu zawierał obowiązkowo także mecze waterpolo i skoki do wody. Mocny był Wrocław, gdzie wyrósł rekordzista świata na 100 metrów stylem klasycznym, Marek Petrusiewicz. Mocny był Poznań, dość mocny Gdańsk. I tak połąkaliśmy pływackiego bakcyła.

- Jak pan ocenia szanse polskich pływaków w Atlancie?

- Będzie tam 11 naszych reprezentantów, w tym pięciu z wybrzeżowych klubów. Wybrzeżowi to: Alicja Penczak, Izabela Burczyk, Marcin Maliński, Bartosz Sikora i Marek Krawczyk. Jestem pewny, że niektórzy będą w finałach, ale jakie miejsca zajmą, to już byłoby wróżenie z przysłówiowych fusów. Proszę zwrócić uwagę, że o tytule mistrza świata czy olimpijskiego decyduje nierzadko jedna setna sekundy, a o kolejności na trzech pierwszych pozycjach pięć setnych sekund. W tej sytuacji operowanie konkretami w prognozie mija się z celem.

- Kiedy trzymać kciuki za pływaków?

- Między 20 a 26 lipca.

- Dziękuję za rozmowę, życząc panu w miarę bezstresowego dyrygowania na olimpijskiej pływalni.

Marynarska czapka z tradycjami

- Turyści zawsze kupowali marynarskie czapki - mówi Leon Ogrodnicki, właściciel pracowni czapek przy ul. Świętojańskiej w Gdyni. - Dla dzieci czapki z nazwami okrętów albo żaglowców, dla siebie - kapitańskie, na pamiątkę pobytu nad morzem.

Czapki najchętniej kupują Polacy, którzy od wielu lat mieszkają za granicą, a do kraju swojej młodości przyjeżdżają tylko na wakacje. Pan Leon robi je też na zamówienie Domów Polskich z całego świata. Od kiedy do Gdyni zaczęły przyplwać okręty obcych bander, zdarza się, że do sklepu zaglądają szwedzcy, francuscy, niemieccy i amerykańscy marynarze. Z zainteresowaniem oglądają nakrycia głowy polskich żołnierzy. A można tu zobaczyć i oczywiście kupić wszystkie możliwe rodzaje uniformowych czapek, nawet rogatywki.

Początkowo pan Leon robił czapki w Gdańsku, gdzie mieszka. Po kilku latach zdecydował się jednak przenieść interes do Gdyni. Pracownia i sklep usytuowane są w tym samym miejscu od 40 lat. Bywało różnie - raz lepiej, raz gorzej, ale pan Leon nie lubi narzekać.

- Kiedyś miałem kłopoty z władzami - opowiada. - Kiedy bowiem przyjeżdżali Polacy z zagranicy, to zawsze zamawiali u mnie czapki z orłem - koniecznie w koronie. Bez

korony nie chcieli i ja ich rozumiałem, więc robiłem. Potem byłem za to ciągnany do „bezpieki”, żeby się tłumaczyć. A jeden pułkownik, który zadreślał mnie pytaniami, potem sam zamawiał u mnie swoją mundurową czapkę.

Po 1989 r. Gdynia zaczęła się zmieniać. Ulica Świętojańska stała się głównym ciągiem handlowym - wizytówką prężnie rozwijającego się miasta. To tutaj zaczęli przyjeżdżać turyści, żeby zobaczyć, jak wygląda młody kapitalizm. Tutaj gdynianie przywozili swoich zagranicznych gości, żeby się pochwalić. Świętojańska ciągle zaskakiwała. Nowe sklepy co kilka tygodni zmieniały branżę, ale pracownia czapek pana Leona przetrwała w tym samym miejscu. Wzbogaciła się o nową witrynę i szyld, wpasowując się w ciąg „marmurów” i luster.

- Nie wiem, jak długo zdołam jeszcze szyc nakrycia głowy. Lata już nie te, a praca ciężka i niełatwa - uśmiecha się nasz rozmówca. - Nad jedną uniformową czapką trzeba pracować pięć-sześć godzin, a kosztuje od 10 do 70 zł.



O biznesie pamiątkarskim napiszemy więcej za tydzień.

Właściciela zakładu zastąpi prawdopodobnie pani Wiktor, która tutaj nauczyła się fachu.

- Pracujemy razem już 18 lat - mówi pan Leon. - W tym czasie przychodziły inne uczennice, ale nie podołały. Od dwóch

lat w oknie wystawowym wisi ogłoszenie, że zatrudnię ucznia, ale ci, którzy się zgłaszają, nie chcą szyc czapek.

Tymczasem turyści chcą je kupować. Cała moja nadzieja w Wiktorii...

Anna Fibak

Fot. Maciej Kostun

Kronikarz

W 1396 roku stał już w Sobowidzu „dom”, czyli zamek krzyżacki, a od 1399 do 1404 roku opasano go murem obronnym. Na budowę muru wydano 649 marek i 17 skojców, mnóstwo ówczesnych pieniędzy.

Wielki Mistrz zakonu upodobał sobie Sobowidz i bywał w nim dwa razy w roku. Podróżował trasą Malbork - Grabiny Zameczek - Gdańsk - Warch - Sobowidz i stąd do Tczewa, zaś większa pętla inspekcyjna wiodła do Słupska przez Puck, Lębork, Człuchów, Chojnice, Starą Kiszewę, Starogard do Sobowidza, który nazywał się wtedy Sobewicz albo Subwicz...

Kazimierz Kowalkowski, emerytowany kierownik szkoły w Żeliszewie, początkowo przystąpił do opracowania kroniki gminy Pszczółki, ale rozszerzył penetrację literatury i archiwaliów na dzieje ok. 20 wsi. Biegle włada niemieckim i umie rozszyfrować dokumen-

ty pisane gotykiem, więc wie np. iż zamek w Sobowidzu miał kuchnię, kilka piwnic, poddasze zbożowe, zbrojownię, kaplicę, młyn, kuźnię, wybieg dla zwierząt, stajnię, stodołę, browar, rymarnię, wozownię i siodlarnię. Tyle z tego pozostało, co nic; jakieś fragmenty murów, fundamenty... Był tam oczywiście, budząc niepokój pracowników Zakładu Rolnego, jak również spenetrował archiwum w Gdańsku i Toruniu. Z archiwów zebrał kopie przedziwnych dokumentów, np. zaproszenie z 2 lutego 1649 roku, jakie Adam Prze-woski, sędzia ziemski mirachowski, wystosował na wesele córki Aleksandry pod adresem Senatu Gdańskiego. Wesele trwało trzy dni, wśród zaproszonych byli wojewodowie „Trzech Ziem Pruskich”. A znów w Krzywym Kole gospodarz urządził wesele, bijąc 65 świń i 5 wołów. Weselono się zbyt długo

i hucznie, więc zasłużył na karę za zbytke ponad chłopski stan.

W 1409 roku, czyta pan Kazimierz ze sterty notatek, Wielki Mistrz w Sobowidzu kazał wypłacić 3 szylingi chłopcu za sprezentowane dwa młode wilczki. Odnotował to zakonny podskarbi w księdze wydatków. Pewien ubogi w tymże 1409 ofiarował krzyżakom złożone w lasach okolicznych dwa młode niedźwiedzie, za co mu zapłacono 1 fird. Kronikarz z Żeliszewie wie także, z jaką datą odnotowano po raz pierwszy Pszczółki (1294 jako własność Elgerusa de Hoensteyn, nazwane „Psolcicz”), Skowarcz (1215 jako „Scowarnikow”), Żeliszewie (1292 jako „Selislaue”), Ulkowy (1229 jako „Vlicoro”), Kolnik (1335 jako „Colonia”), Różyny (1342 jako „Rosenberch”), Kleszczewko (1336 jako „Clescow”) i Rębielecz (1332 jako „Rembeltz”).

Inny trop, jakim podąża, wiąże się z tzw. znakami własnościowymi. Występują one lub występowały w Koźlinach, Krzywym Kole, Bystrej, Suchym Dębnie, Cedrach Wielkich i Małych oraz Rębieleczu na kamieniach granicznych lub na starych planach ziemskich. Żaden ze znaków się nie powtarza, a grafiką przypominają nieco skandynawskie i germańskie runy.

Marzeniem Kazimierza Kowalkowskiego jest ściągnięcie pozostałych po polach kamieni ze znakami do Żeliszewie, gdzie tworzyłyby małą ekspozycję, czyli lapidarium. Boryka się z zamierzeniami chyba ponad siły zupełnie sam, bez pomocy ze strony zainteresowanych gmin. Nie jest już niestety młodzieńcem, więc może się okazać, że kronika nigdy nie powstanie, a iście syzyfowe trudy pójda na marne. Oby było inaczej...

Grzegorz Kurkiewicz



Fot. Grzegorz Kurkiewicz

Czas już najwyższy, aby ktoś napisał małą historię handlu od schyłku PRL do dziś, czyli do początku inwazji makromarketów.

Mikro -makro

Pomysły humanisty

Jeszcze dwa lata, pięć, a wszyscy zapomnimy pierwsze stadium rozkwitu bazarów, gdzie u „spekulantów” wymieniano się kartki wódkowe na cukrzane, a u przemytników kupowało metkę z NRD. I stadia następne - rozwyrzonych i zde-terminowanych handlarzy walizkowych, okupujących każdy murek i skrawek chodnika przed Dworcem Głównym, aż przejść nie można było, potem erę szczek i żab (najpierw jeszcze łózek polowych), potem wysyp budek i kiosków, itd., aż do stadium dzisiejszego - sklepiku na każdym rogu.

Tym bardziej ta historia jest potrzebna, że teraz nad tą całą drobnicą zawisła groza wielkich marketów. Nie wiem, czy przerażenie sklepikarzy nie jest przesadne: póki co, ich byt chronią dwie okoliczności. Pierwsza to fakt, że samochody ma jeszcze ciągle tylko mniejszość populacji, a bez samochodu do megasamu nie ma się co wybierać. Druga to przyzwyczajenia kupujących. Większość pań po prostu lubi wyskoczyć do sklepu - rano na mały spacer po bułki i mleko, po południu - ot, tak sobie, żeby uzupełnić zapasy i wymknąć się na trochę pod wiarygodnym pretekstem z czterech ścian.

Ale świat się zmienia, przybywa aut, makromarkety kuszą, aż wreszcie skuszą na dobre. Sklepiki „śniadaniowe” zapewne się ostaną, bo lubimy świeży chlebuś i bułeczki, ale chemia i artykuły gospodarcze znajdują się w kryzysie.

Toteż „przemysłowcy” powinni, wzorem spożywców, skupiać się w minicentra, albo wręcz je tworzyć. Gdzie? Proszę, oto propozycja:

W sąsiedztwie targowiska przy Chłopskiej straszy pomnik bezsensu planistycznego, tj. podziemne przejście prowadzące znikąd donikąd. Nawet sprayowcy tam nie zaglądają, bo zabazgrali już wszystkie ściany, a poza tym - po co pisać, jak nikt nie czyta. W zamierzonych czasach połowę pasaży przewidziano na boksy handlowe, ale pomysł zarzucono, żuliki rozdrapały co było do rozdrapania i tyle. Do pomysłu można by jednak wrócić: woda jest, prąd jest, wystarczy wymurować boksy. Po to, żeby żulia znowu rozdrapała? A nie, na żulię też jest rada. Pasaż należałoby na wieczór z obu stron zamykać solidnymi, żelaznymi bramami - przecież nocą i tak nikt tamtędy nie przechodzi. Za to w dzień można by tam kupić wszystko, ale to wszystko, o czym dusza majsterkowicza zamarzy: gwoździe od świeczka do hufnala w jednym boksie, farby w całej gamie, kleje, gipsy - w innym, młotki, cążki i holajzy w innym. Mankamentem małych sklepików jest to, że z naturalnych przyczyn nie mogą mieć wszystkiego, z drugiej strony zaś - z wąską specjalizacją się nie utrzymają. Nie utrzymują się samotne i odosobnione, ale razem, uzupełniając się, podsyłając sobie nawzajem klientów, czemu nie?

Ci średniowieczni kupcy i rzemieślnicy nie byli wcale tacy głupi, kiedy gromadzili się na jednej ulicy: tu sukiennicy, tam garncarze, ówdzie rzeźnicy czy piekarze. Bardziej byli dla siebie nawzajem wsparciem niż konkurencją. I tak długo przed narodzinami makromagazynów coś w tym rodzaju przecież istniało: tuzin mikrosklepów w odbiorze klienta funkcjonował jako jeden makro.

Myszę, że do powstania takich mikro-makro w końcu dojdzie. Nasz ludek handlowy jest ruchliwy i pomysły i nie tak łatwo da się zjeść w kasy.

Janina Wiczerska

Coraz więcej wśród nas Polaków z Kazachstanu. Odbiegają dość znacznie od powszechnych wyobrażeń o biednych i zahukanych ludziach ze stepów.

Już są

Polacy z Kazachstanu wracają do kraju przodków. Ci najbardziej przedsiębiorczy - lub ci, którzy mają szczęście. Powoli powiększa się ich grupka także na Wybrzeżu. Oto kilkoro z nich. Żyją już tu, wśród nas.



Wkrótce rozwinę skrzydła! - Antonina Zapaśnik wraz z synem Aleksandrem wierzą w lepszą przyszłość.

Ponad sto tysięcy Polaków żyje dziś w środkowej Azji. Wiadomo: zesłańcy z epoki Stalina i ich potomkowie. Ludzie ponad stulecie przez ponad pół wieku dzielili tam wspólny los. Od kiedy Kazachstan przestał być więzieniem narodów - wędrowni ludów odbywa się znowu.

Ale to przede wszystkim Niemcy wypełniają pociągi, dwa razy w tygodniu odchodzące ku Europie. Państwo niemieckie łoży wielkie sumy na repatriację swych rodaków. Państwa polskiego dziecięcej nie stać.

Pionierzy

Zapewne pierwszy w Trójmieście był Włodzimierz Judin. Prawnik z zawodu, na uniwersytecie w Celinogradzie wykładał przez wiele lat język francuski. Przed trzema laty, wykorzystując rodzinne koneksje, przybył do Polski wraz z żoną i dwójkiem dzieci. Teraz Włodzimierz jest rozgoryczony:

- Trzeba ich tam, w Kazachstanie zawczasu uświadomić, że tak naprawdę to nikt tu na nich nie czeka.

Nie można powiedzieć, by ojczyzna przodków przyjęła Judinów na swe łono ze szczególnym entuzjazmem. Przeżyli dwa lata w norze pod scho-

dami, na parterze rudery we Wrzeszczu. Sąsiedztwo koszmarnie wprost meliny nie służyło ich nerwom, zaś wszechobecna wilgoć nadszarpnęła zdrowie.

- Bardziej chyba, niż kilkadziesiąt lat w Kazachstanie, gdzie przecież nie raz na głowy padały radioaktywne deszcze.

Shczęściem - zdolne dzieci mogły, w czasie studiów, zamieszkać w akademikach. Aleksy - to dziś już niemal lekarz; Aldona jest polonistką, podjęła doktoranckie studia. Wolne chwile spędza między niebem a ziemią, oddając się nabytej jeszcze w Kazachstanie spadochronowej pasji. Dzieci wrosły już w Polskę.

Włodzimierz znalazł pracę w znanej gdyńskiej firmie, gdzie zarabiał niewiele - ot, tak aby z głodu nie umrzeć. Dał się wtedy poznać, jako orędownik polsko - kazachstańskiego zblżenia. Za jego to przyczyną doszło do pierwszych w historii kontaktów miejskich władz Gdańska i Akmoły, która przysposabiana jest właśnie do roli stolicy Kazachstanu.

- Jak pomóc najlepiej tamtejszym Polakom? Ano, wchodząc na tamtejszy rynek. To wzmocni ich pozycję w tym, wciąż pogrążonym w kryzysie, kraju. Współpracujmy z najaktywniejszymi: niech okrzepną ekonomicznie. Nie muszą tu

przyjeżdżać - pomóżmy im tam wziąć los w swoje ręce!

Przed kilkunastoma tygodniami państwo Judinowie przeprowadzili się do Gdyni. Już dość dawno temu miasto to postanowiło przeznaczyć dla repatriantów pięć mieszkań.

Włodzimierz jest bez pracy. - Cieszę się szczęściem dzieci; tam przyszłości dla nich by nie było.

Mówi to, siedząc na stosie grubych książek, bo w dwupokojowym lokum dominuje pu- sta przestrzeń.

Coś za coś

Dwadzieścia trzy godziny jechali Uazem przez step, do pociągu. Zima, 30 stopni, śnieżna burza; buran w tym roku zabił kilkuset nieostrożnych. Za sobą, w Ust Kamienogorsku zostawili kawał życia. Mieszkanie sprzedali za pół ceny, podobnie okazynie „poszła” terenowa Niva. Zostało parę walizek.

- Jedziemy do Polski! - to dla Licznarowskich było najważniejsze. Warte, wydawało się, materialnego dorobku i wysokiego stanowiska. Bo Walery, inżynier hydrotechnik z doktoratem był tam głównym inżynierem od melioracji w obwodzie. W Kazachstanie, gdzie wszystko duże - obwód równy jest powierzchni niejednego kraju. Ale gdy będąc ostatniej jesieni w Polsce dowiedział się, że Gdańsk chce przyjąć

pięć rodzin - nie wahał się długo. Wczesną wiosną byli już w Polsce. Nie jechali w ciemno: na piśmie mieli gwarancję pracy i mieszkania.

Mieszkają więc z Tatianą, dwójkiem dzieci oraz psem Czarlim (a także, też stamtąd) w dwóch małych pokojach, na parterze bloku w Nowym Porcie. Gdzieś temu lokum do ob- szernego, trzypokojowego mieszkania w Kazachstanie.

- Narzekać jakoś nie wypa- da, zresztą tu wszyscy są przekonani, że w Kazachstanie mieszka się tylko w ziemian- kach.

To, co przywieźli z sobą, rozeszło się szybko. Zapomoga od miasta starczyła na trochę mebli. Herbatę pijemy jednak na kartonowym pudle.

I praca jest, owszem. Z Projmorsu Walery przynosi około 600 zł. Trochę mu jednak zrzęda mina, gdy okazało się, że do kosztów przeprowadzki dodać trzeba również utratę praw do emerytury. A także urlopu.

- Jakby nie było tych dwudziestu lat pracy. Dopóki jednak nie zmieni się nic w przepisach, będziemy traktowani tak jak cudzoziemcy...

W Polsce potrzeba pilnie ustawy repatriacyjnej, bo fala przyjazdów z Kazachstanu będzie nieuchronnie narastać.

- Przyjechalibyśmy tu dla dzie- ci, żeby miały przyszłość - Ta-

w Polsce

tiana chyba najciężej znosi tę nagłą odmianę. Inżynier hydrolog, na razie siedzi w domu. W ciągu paru miesięcy trudno pokonać barierę języka.

- To nie to, co młodzi - mama jest bardzo dumna z postępów swoich dzieci.

W szkole dopiero od kwietnia; jako „wolni słuchacze” dziewięcioletnia Elżbietka i Eugeniusz (14) błyskawicznie nadrabiali dystans. Z niedowierzaniem patrzę na piątki i szóstki z klasówek. Piękne pismo, błędów właściwie nie ma. Te dzieci jeszcze pół roku temu nie mówiły po polsku!

U Licznarowskich niemal nie zamykają się drzwi. Najczęściej to goście do dzieci; kolegów mają już mnóstwo.

- I do mnie często wpadają sąsiadki, zapraszają do siebie, pomagają w zakupach. Zaprzyjaźnił się z nami także Lech Bogucki, który z ramienia Urzędu Miasta pomagał nam we wszystkim. Trafiliśmy tutaj na samych dobrych ludzi - Tatiana się uśmiecha: - Dzięki temu lepiej.

Spętana

Antonina w biurze ślęczy przy komputerze. Nie jest przyzwyczajona do takiej pracy. U siebie, w mieście Kustana, miała przecież sklep. Żyła aktywnie i w ruchu: jako handlowiec zjeżdżała Kazachstan i połowę Rosji.

- Liczyłam, że tu znajdę nowe ujęcie dla mojej przedsiębiorczości.

Antonina Zapaśnik mogłaby być przykładem na to, że rodacy ze Wschodu nie tylko wy-

ciągają rękę. Minął jednak już rok, od chwili gdy pojawiła się w Pruszcze - a ona wciąż nie ruszyła naprzód z realizacją swoich planów.

Te plany są ambitne: duży handel z Rosją. Ma doświadczenie i kontakty. No, ale z czym tu ruszyć?

- Nie boję się kredytu; w Kazachstanie brałam nawet na 180 procent. I zawsze spłacałam. Nikt mi jednak kredytu w polskim banku nie da. Ani u mnie majątku, ani polskiego obywatelstwa. Ba, nawet kazachstańskie paszporty ukradł polski złodziej...

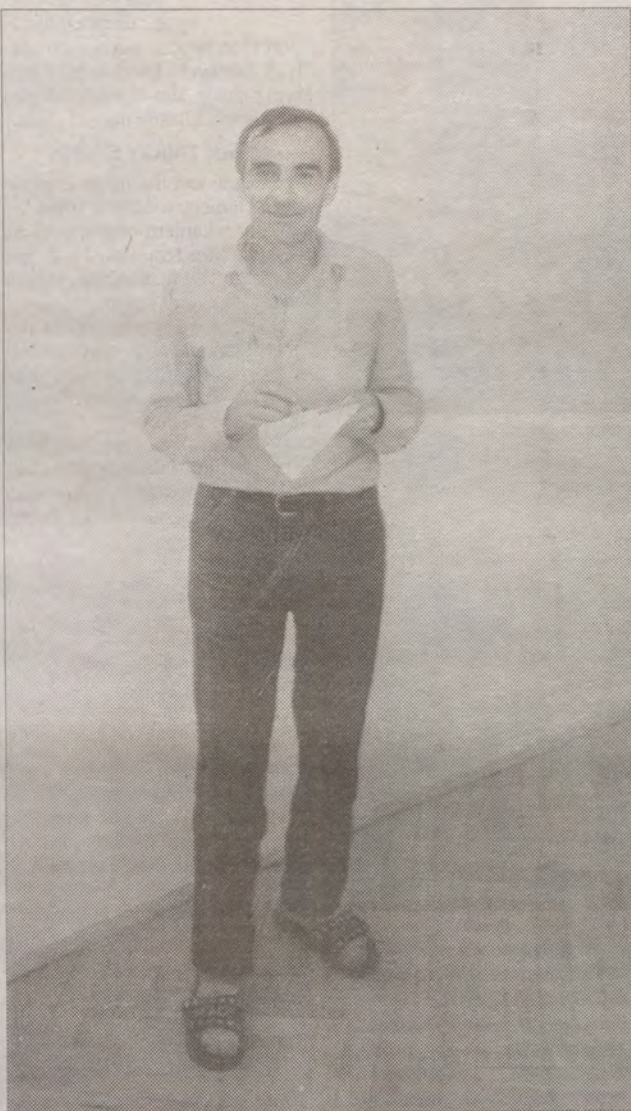
Antoninie marzy się niejedno przedsięwzięcie. Na razie żyje wraz z synem w mieszkanku przy szkole. To dzięki gminie Pruszcz Gdański: na jej zaproszenie przyjechali tu wraz z Aleksandrem. Pieniądze, jakie mieli, przejedli dość szybko.

- Trochę różnie będzie, gdy dołączą do nas moi rodzice oraz brat z rodziną. I może uda się zdziałać coś w sprawie obywatelstwa - Antonina nie może się doczekać ustawy repatriacyjnej. Na razie wdzięczna jest za pomoc grupce życzliwych ludzi. Burmistrz Stefan Skonieczny „pilotuje” jej sprawy, pomogli Sybiryacy i dyrekcja GPRD.

- Ważne, że syn czuje się tu coraz lepiej (ostatnio „wyrysował” nagrodę w oficjalnym konkursie na milenium Gdańska). A przyjdzie w końcu chwila, że rozwinę skrzydła!

Janusz Czerwiński

Fot. Maciej Kostun i Janusz Czerwiński



Włodzimierz Judin cieszy się przede wszystkim szczęściem swoich dzieci.

Zamiast młócić materię słów - przydzielić by działaczom opozycji obszary do rozpracowania. Finanse, prywatyzację, komunikację, czy łączność. Wysłałbym np. Jacka Kurskiego tam, gdzie rządzi pieniądź, skoro ze swadą kreśli wciąż wizję makro gospodarcze.

Postawmy na „gabinet cieni”!

Chwyty dozwolone

Ukazał się ongiś w „Polityce” artykuł o losach ocalałych żołnierzy batalionu AK „Parasol”, wstąpienia w Powstaniu. Okazało się, że ani jeden uczestnik takich akcji, jak zamachy na Kutschere i Koppego, akcja pod Arsenalem, walki na Woli, Starówce i w Celestynowie - nie znalazł się w PRL w wojsku, państwowej administracji, dyplomacji lub innych organach władzy. Nad zaletami wtedy młodych jeszcze kombatanów jednej z najślawniejszych jednostek AK górowała obawa oddania cząsteczki władzy w inne, niż nomenklaturowe ręce. Owszem, sporo „chłopaków od Parasola” wniosło się nad peerelowską szarogłęb, lecz były to kariery naukowe, nie w dziedzinach, uznawanych za strategiczne. Obowiązywał sowiecki pomysł na nomenklaturę, pepinię przyszłych dysponentów, do której wejść można było spełniając określone kryteria - z wymogiem absolutnej dyspozycyjności na czele.

Po istnym trzęsieniu ziemi w 1989 roku, opozycyjne elity przeniosły się z klubików dyskusyjnych na fotele ministerialne - urzędnicze, choć wysokie. Nowi ministrowie nie zaliczyli uprzednio np. przyznawanych przez Fulbright - Kommission studiów na założonym w 1636 roku prestiżowym uniwersytecie Harvarda w USA, gdzie za to studiowali Cimoszewicz, Rosati, czy Kołodko. Jeśli nawet znali języki, to z saksów, bez akcentu i uproszczone... Usłyszałem z ust J.K. Bieleckiego już po jego premierowaniu, że Wałęsa powierzył mu ster chciał udowodnić, iż premierem potrafi być każdy... Prezydentem też. Nawet Mazowiecki, do którego czuję sympatię, nie wydał mi się w roli premiera obsadzony serio. Sam Macierewicz prasie się zwierzył, że po MSW jako szef resortu poruszał się niczym po wrogim terytorium. Wiadomo, że całą parą dążył do skompletowania teczek, także na arcypoczątkowego lidera własnej partii, więc na usprawnianie policji, UOP, czy Straży Granicznej zabrakło niestety czasu. Pan Parys, obyty i rozumny (miałem przyjemność rozmowy z nim dla „WW” - J.Ch.), zaczął urzędowanie od wylania Szefa Sztabu Generalnego, w stylu w jakim pozbywa się kogoś przylapanego na kradzieży. Wiceminister MON za tegoż Parysa przeformował tylko nazywanie plaketek z nazwiskiem na mundury, jak w NATO, po czym znudzony urzędowaniem nie dla partyzanta z gór Afganistanu wsiadł w samolot i odleciał skąd przybył. Do Londynu.

W Mongolii po wyborach okazało się, że zwycięska opozycja demokratyczna nie wie jak i jakimi siłami ma odtąd rządzić. Stąd morał, by wzorem „gabinetów cieni”, zamiast młócić materię słów - przydzielić działaczom opozycji obszary do rozpracowania. Finanse, prywatyzację, komunikację, czy łączność. Wysłałbym dziś za składki członków „Ruchu” Macierewicza, by poznał gruntownie specyfikę FBI i CIA, BND i Masadu, Specnazu i GRU, Parysa na praktykę w armii doświadczonej w boju i zbrojnej, np. do Izraela, a Kurskiego tam, gdzie rządzi pieniądź (do Banku Światowego, MFW, EBOR itd.) - skoro ze swadą kreśli wciąż wizję makro gospodarcze.

Jan Chrzan



Elżbietka i Eugeniusz Licznarowscy (z lewej) mają w Nowym Porcie mnóstwo kolegów. Tatiane i Waleremu w kłopotach z językiem polskim pomaga pani Lila Cimoszko (w środku). Czarli fotografować się nie lubi.

Bliski jest już czas, gdy dawanie ściagi będzie podcinaniem gałęzi, na której się siedzi. A ściąganie od innych związane będzie z ryzykiem, że nawet najlepszy kumpel może ci podłożyć fałszywkę.

Rynek kontra ściaga

Rejsy po gospodarce

Statystyki, a także opinie nauczycieli akademickich, wskazują wyraźnie na coraz większy wpływ czynników rynkowych na decyzje i zachowania młodego pokolenia. Coraz więcej osób chce studiować, bo wśród bezrobotnych ludzi z wyższym wykształceniem jest zdecydowanie mało. Wybór studiów jest też dzisiaj bardziej pragmatyczny niż kiedyś. Podchodzi się doń tak jak do inwestycji. Porównuje się nakłady (czas, pracochłonność, koszty) i efekty (szanse na późniejszą pracę, karierę, zarobki).

Socjologię, psychologię, a nawet filozofię wybiera się teraz nie z powodu chęci poznania, rozwoju intelektualnego i tym podobnych dupereli. Studiuję się te „nieprzystdatne” jeszcze niedawno nauki, żeby dostać pracę w agencjach marketingowych, w reklamie itp. Jak przyciągnąć klienta, jak wtrącić mu nasz towar - do odpowiedzi na te przyziemne pytania można łatwiej dojść znając teorię osobowości, psychikę zachowań masowych. Nie zaszkodzi też nieco wiadomości o współczesnej filozofii, religiach itd. To wszystko jest dziś sprzedawalne. Filolog może wymyślać slogany i pisać scenariusze reklamowych klipów, a historykowi zawsze łatwiej znaleźć ciekawe, nie ograne skojarzenia, które można wykorzystać w kampanii promocyjnej.

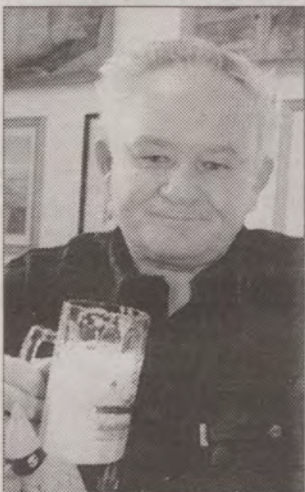
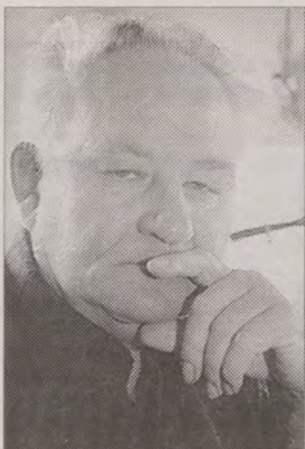
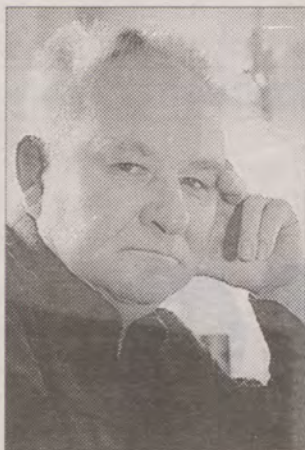
Miejsca na rynku pracy jest dla dobrze wykształconych jeszcze sporo. Ale rynek będzie się nasycił, no i nie wszystkie propozycje są równie atrakcyjne. Pojawia się zatem element rywalizacji.

W Polsce ściąganie nie jest niczym nagannym. Nawet surowi nauczyciele bawią się raczej z uczniami w „złodziei i policjantów”. A nie dać koledze ściagi - to czyste chamstwo. Ściąganie tkwi dość mocno w naszej kulturze życia codziennego, nie ma wobec niego klimatu moralnego potępienia. Inaczej niż np. w kulturze anglosaskiej i niemieckiej.

Kilka lat temu studenci z mojego wydziału wyjechali na rok do W. Brytanii. I zostali, w czasie egzaminu, złapani na ściąganiu. Wybuchł wielki skandal. Chciano ich natychmiast odesłać do kraju. Jeszcze po trzech latach, gdy rozmawiałem z dziekanem tamtejszego uniwersytetu, przypomniał mi w niezbyt sympatyczny sposób ów incydent mówiąc: „U was w Polsce jest inna kultura. Pamiętasz tych, co próbowali ściagać? Z naszymi studentami to nie mogłoby się zdarzyć”. W ubiegłym roku francuscy egzaminatorzy (na naszym wydziale) przytłapali na ściąganiu pewną poważną panią (dyrektora sporej firmy... edukacyjnej!). Usunięto ją z sali i zabrano, by nie dostała dyplomu ukończenia studiów.

I oto czytam wypowiedź wykładowcy warszawskiej SGH. Powiada, iż ponoć zdarzają się u nich przypadki podawania kolegom fałszywych ściąg. Po co? Proste, by pozbyć się rywala. Bo już teraz studenci zaczynają walczyć o stopnie. Tzw. średnie ze studiów, oceny na dyplomie zaczynają się liczyć. Pracodawcy przyglądają się wynikom coraz bardziej wnikliwie. Trzeba więc walczyć z konkurencją. Fałszywki to oczywiście przeginanie pały w drugą stronę. Trudno to aprobować. Choć w końcu, takie samo oszustwo jak zwykle ściąganie. Jedno jest pewne - rynek wypłeni polskie ściąganie znacznie skuteczniej niż, słabe zresztą, apele moralne.

Piotr Dominiak



W Ratuszu Staromiejskim w Gdańsku odbyło się wczoraj uroczyste podsumowanie kolejnej już edycji konkursu „Media Książce”, organizowanego przez „Dziennik Bałtycki”, gdański ośrodek TVP i Radio Plus.

„Ujrzane, w czasie zatrzymane” Zbigniewa Żakiewicza, wydana niedawno przez oficynę „Marabui”, została Gdańską Książką Wiosny '96.

Zbigniew Żakiewicz, prozaik, eseista i krytyk literacki urodził się w 1933 roku w Wilnie. Z wykształcenia jest doktorem rusycystą, absolwentem Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu, pracownikiem Uniwersytetu Gdańskiego.

Jako pisarz debiutował w 1960 roku na łamach „Tygodnika Powszechnego” opowiadaniem „Ostatnia bitwa”. Zbiór nowel „Chłopiec o lisiej twarzy” był jego debiutem książkowym. Potem wydał m.in.: „Liście”, „Ród Abaczów”, „Wilcze łaki”, „Dolinę Hortensji”, „Ciotulenkę”, „Wilio, w głębokościach morza”, „Białego karla”, a także adresowaną do dzieci, z powodzeniem adaptowaną na widowisko teatralne „Krajinę 105. tajemnicy”.

„Ujrzane, w czasie zatrzymane” to kontynuacja „Dziennika intymnego mego N. N.” i „Pożądania wzgórza wiekiustych”.

Niedźwiedź metafizyczny - tak nazywają go przyjaciele z głębi Polski

W e wrzeszczańskim mieszkaniu pełno jest książek. A także starych rodzinnych, cudem niemal z dziejowych burz ocalonych fotografii. I ponad setka ptaków. Glinianych, drewnianych, porcelanowych, szklanych małych i dużych. Biurko, przy którym pracuje, stoi w pokoju, dokąd nie dociera uliczny miejski gwar.

Pisać znaczy szukać

Pisanie jest dla niego ciągłym pogłębianiem wiedzy o sobie samym, szukaniem odpowiedzi na pytanie, kim teraz jest i jaki jest świat. Gdyby to wiedział, zajmowałby się czymś innym.

Do tego, że poprzez słowo, poprzez literaturę najlepiej może siebie określić, doszedł wcześniej, jeszcze w czasie wojny, wypełniając czas lekturami.

- Byłem dzieckiem nad wiek rozwiniętym. Jako kalkulator zadawałem zasadnicze pytania o granice nieskończoności, bałem

Zbigniew

się wszechświata. Towarzyszyły mi przestrochy, poczucie metafizycznego zdziwienia i obcości wobec świata. Z tego zapewne wzięła się potrzeba szukania samego siebie. Uwarunkowane to było genetycznymi napięciami - moich rodziców dzieliła duża różnica wieku, ojciec był o prawie 30 lat starszy od matki - potęgowały mi przez wielonarodowościowe otoczenie polsko - białoruskie - żydowskie. Wychowałem się w dobrach hr. Tyszkiewiczów, w których ojciec był rządcą. Tu, a także w majątku i folwarku dziadka upłynęło mi dzieciństwo. Los nie szczędził wstrząsów: bolszewicy, wywozy, niemieckie bombardowania, powtórne wkroczenie bolszewików, ucieczka, przyjazd do Łodzi, potem kolejne przeprowadzki.

Moje książki są więc drogą samopoznawania. Literacki debiut - zbiór nowel „Chłopiec o lisiej twarzy” - to książka nierówna. Ale tytułowe opowiadanie traktuje o tym, do czego powróciłem w powieści „Ród Abaczów”:

przewrażliwione dziecko, skłócone rodzice. Po debiucie szukałem formy: „Ród Abaczów” był pierwszym uderzeniem. Wróciłem do wileńskich stron, do rodzinnej legendy, która nie była zresztą czystym wymysłem. Potem - ku zdumieniu krytyki - napisałem „Białego karla” - rzecz o tym, co jest trwałe, a co zmienne, trochę w stylu filozoficznej przypowieści. Gdy powstawała, byłem już na tyle ustabilizowany, by móc powiedzieć, że trwała jest miłość. Pojawia się tam motyw podwójności, bliźniaczości, który najlepiej wyraża stan duchowego poszukiwania i niedopełnienia. Sam jestem spod znaku Bliźniąt.

Literatura i autobiografia

Pisanie rodzi się z wewnętrznego przymusu. Twórczość Żakiewicza „karmi się” jego biografią. Fikcję natomiast z upodobaniem rozwija pisarz w utworach dla dzieci.

- Tylko tam fikcyjność ma swoją konwencję, gdzie indziej jej budowanie jest zabiegiem jałowym.



Z rodzinnego albumu - czteroletni Zbigniew Żakiewicz z rodzicami.

Fot. Robert Kwiatkowski

Żakiewicz



Fot. Robert Kwiatek

wym. W literaturze dość już wykreowano fikcji, że nie warto się powtarzać. Należy pytać kim się jest i dawać odpowiedź najbardziej uczciwą z możliwych. Człowiek mało o sobie wie, jest dla siebie zagadką. Dlatego sięgam do duchowych i życiowych doświadczeń. Innej drogi nie ma. Moje książki w większości odpowiadają kolejnym etapom biografii. „Wilcze łąki” to pokłosie podróży na Wileńszczyznę ujrzaną po wielu latach. Zobaczyłem miejsca swego dzieciństwa, które opuściłem jako 14-letni chłopiec - w zupełnej ruinie i zniszczeniu. Okazało się, że mimo upływu lat wiele pamiętałem. Postanowiłem więc to opisać, jako świadek ich upadku. W nagrodzonej przez wojewodę gdańskiego, przedostatniej książce „Wilno, w głębokościach morza” zakończyłem historię Abaczów. „Ród Abaczów” i „Wilcze łąki” kończą się w 1939 roku, a „Wilno, w głębokościach morza” - w 1946. Wtedy to z kresowiaków, wilniaków, staliśmy się repatriantami.

Dużo autobiografizmu było w „Dzienniku intymnym mego N. N.” i jego ciągu dalszym - „Pożądaniu wzgórz wiekiustych”. „Ujrzane, w czasie zatrzymane” stanowi tego kontynuację, ale narratora, tego N. N. jest mniej, choć świat jest przefiltrowany przez osobowość piszącego. Wśród wielu opinii o tej książce słyszę słowa podziwu ze strony przyjaciół, że mówię o modlitwie i czasami mam jej dar. Tak twierdzą zdeklarowani agnostycy, ludzie, którzy stale poszukują, lecz wiedzą czego już szukać nie muszą.

Teraz, a właściwie już od paru lat, powstaje nowa książka.

- Szarpie się, chciałbym w niej zawrzeć dwie rzeczy: moje przekraczanie „smugi cienia”, kiedy człowiek żegna się z młodością, wychodząc w wiek męski, oraz

dwa żywioły, morze i ziemię, cielesność i duchowość. Będzie to minipowieść, cykl łączących się ze sobą nowel. Może uda mi się to wydać w jednym tomie, wraz z „Ciotuleńką”. Tytułu jeszcze nie mam, męczę się nad nim. „Tańczący niedźwiedź”? Jest tam motyw niedźwiedzia smorgońskiego. Niedźwiedź metafizyczny - tak nazywają mnie przyjaciele z głębi Polski.

Powrót do siebie

Dzieciństwo i wczesna młodość są mitycznym rajem. Do niego każdy z nas wraca chętnie. Ale repatriantów z dawnych kresów prześladuje coś jeszcze.

Żakiewiczowie to stary kresowy ród. Jedna babka ze Snitków,

druga z Ławrynowiczów, również rodzin od dziesiątków pokoleń w tę ziemię wrosłych. Repatriacja oznaczała całkowitą utratę. Wyrok historii pozbawił nie tylko ziemi, ale i części biografii. Wszystkiego. Ta bolesność wciąż powraca.

- Ciągle się z niej wyzwalałem aż wróciłem do siebie. Znalazłem swoją drugą ziemię. Nie w Łodzi, gdzie zrobiłem maturę, nie we Wrocławiu, gdzie studiowałem i nie w Opolu, gdzie spędziłem 10 lat życia. Przejściowo zadomowiłem się w Karpatach, pod Gorlicami, w rodzinnych stronach żony. Ale dopiero na Kaszubach poczułem się naprawdę u siebie, jak na wyżynie oszmiańskiej. Obie krainy leżą na tej samej geograficz-

nej szerokości, mają podobną florę i faunę, podobny klimat. Kaszubi - nieufni, związani z naturą, małowolni, flegmatyczni i bogobojni bardzo przypominają mi Białorusinów. Z pobytów na Kaszubach zrodziła się „Ciotuleńka”, opowieść o wilniucce, która przybywa na Kaszuby i zaczyna się do nich przywiązywać. Kiedy osiem lat temu byłem w Wilnie, stwierdziłem ostatecznie, że cała Wileńszczyzna jest tutaj, że pełno tu wileńskich aromatów. Samo Wilno wydało mi się skorupą wypełnioną inną treścią. Zrozumiałem, że nie ma już powrotu. Jeśli mogę do czegoś wracać, to tylko do pamięci. Do ludzi - nie.

Anna Jęsiak



Pisarz z żoną, Dominiką.

Fot. Robert Kwiatek

Czy szwajcarskie aktywa żydowskich ofiar holocaustu skonsumowała CIA?

„Newsweek”: Szwajcarski cichy port

Okno na świat

Neutralna Szwajcaria zawsze wynosiła spore korzyści z każdej wojny. Jak świat światem kraj taki był bardzo potrzebny wszystkim stronom uwikłanym w konflikt. Atakujący i atakowani chcieli mieć gwarancję, że istnieje miejsce, gdzie ich pieniądze są w miarę bezpieczne. Tak samo było w czasie II wojny światowej.

Opierając się na niedawno ujawnionych dokumentach, dziennikarze „Newsweeka” twierdzą jednak, że szwajcarskie zaangażowanie w bankowe operacje było dość odległe od neutralności - że szwajcarskie banki nieporównanie bardziej faworyzowały Niemców niż aliantów. Zdaniem „Newsweeka”, pod koniec wojny, gdy klęska Hitlera była przesądzona, Szwajcaria skwapliwie przyjęła lwia część kapitału, jaki do dyspozycji pozostał jeszcze III Rzeszy, zdając sobie sprawę, że pieniądze te mogą okazać się dla Niemców bezcenne, gdy po podpisaniu kapitulacji zaczyną myśleć o odbudowie swej gospodarczej potęgi. Więcej faktów na ten temat zostanie ujawnionych już niebawem, ponieważ szwajcarskie banki - chcąc utrzymać swą międzynarodową reputację - i pragnąc możliwie jak najbardziej zminimalizować plotki na temat ich zaangażowania po stronie hitlerowskich Niemiec, zamierzają naruszyć swą odwieczną zasadę i ujawnić dane na temat tej części swojej działalności.

Pojawiły się poważne naciski, żeby tak właśnie się stało. Przy czym chodzi jednak o nieco inny aspekt tej samej sprawy. Najsilniejszą presję wywierają bowiem międzynarodowe organizacje żydowskie, które twierdzą, iż w szwajcarskich bankach po dziś dzień znajdują się aktywa wielu ofiar holocaustu, do których ich prawowici spadkobiercy nie są w stanie dotrzeć. W latach 30. wielu żydowskich przedsiębiorców swoje oszczędności umieszczało na kontach w bankach szwajcarskich. Większość z nich, w czasie II wojny światowej, zginęła w obozach śmierci. Zdaniem przedstawicieli organizacji żydowskich, kwoty, które pozostały po nich w podalpejskich skarbcach wielokrotnie przekraczają sumy, które pod koniec wojny Niemcy przenieśli do bankowego zaccisa pod Alpami.

„Newsweek” przytacza relacje osób, które są pewne, że ich zamordowani w czasie wojny krewni posiadali w szwajcarskich bankach poważne aktywa, jednak nie potrafili tego niezbicie udowodnić. Odpowiedzi, jakie uzyskiwały one przy każdej próbie dochodzenia swoich praw były w zasadzie takie same: nie istnieje odpowiednia dokumentacja; nazwisko podawane przez zainteresowanego w rejestrze nie widnieje; pieniędzy na koncie nie ma.

Być może cała sprawa ma jeszcze jedno dno. „Newsweek” wyraża przypuszczenie, iż część tych aktywów została już wykorzystana w latach 50. i 40. przez CIA, która dysponowała precyzyjnymi informacjami, kto z właścicieli kont przeżył pobyt w obozie, a kto nie.

- To jeden z naszych największych dylematów - przyznają działacze żydowskich organizacji. - Czy mamy oskarżać rząd amerykański, że zużył pieniądze, które formalnie do niego nie należały? W sprawie tej wypowiedział się już także prezydent Clinton. Stwierdził, iż kwestię tę trzeba wyjaśnić i że - prawdopodobnie - swoim zasięgiem obejmie ona więcej krajów, nie tylko Szwajcarię.

Roman Warszawski

ŚCIGANY

Jest poetą i psychiatrą. Kiedyś - za pieniądze - wystawiał zaświadczenia o chorobie psychicznej przestępcom chcącym uniknąć wyroku. Czy teraz sam będzie uciekał przed sprawiedliwością w podobny sposób?

W międzynarodowym liście gończym, który za nim rozesłano, są następujące informacje. Wzrost: 185 cm. Data urodzenia: 16 czerwca 1945. Miejsce zamieszkania: Pale, Bośnia i Hercegowina. Znaki szczególne: bujne, kasztanowo-szare włosy. Imię i nazwisko: Radovan Karadžić.

Jeszcze do niedawna Karadžić bardzo lubił podróżować. Imponowało mu, że liczył się

z nim cały świat, mieszkał w najlepszych hotelach i oddawano mu honory należne głowie państwa. Teraz, gdy coraz bardziej zaciska się wokół niego pierścień międzynarodowego potępienia, raczej niechętnie opuszcza swą rezydencję „Panorama” w Pale, niespełna 20 kilometrów od Sarajewa. Gdyby podróżując samochodem trafił na patrol IFORU, niechybnie zostałby aresztowany pod zarzutem zbrodni przeciwko ludzkości i wydano by go Międzynarodowemu Trybunałowi w Hadze, który po wojnie w byłej Jugosławii ma być tym samym, czym był Trybunał Norymberski po II wojnie światowej.

Psychiatra poetą

Mimo że dla wszystkich jest uosobieniem serbskiego nacjonalizmu, nie jest Serbem, lecz Czarnogórcem. Studiował medycynę, a dokładniej - psychiatrię, a żeby było jeszcze dziwniej, specjalizował się w zagadnieniach halucynacji paranoidalnych. W latach 80., w Sarajewie, prowadził prywatną praktykę, ciesząc się dość dużym wzięciem, zwłaszcza wśród miejscowego półświatka. Niejednemu przestępcy lewe zaświadczenia wystawiane przez Karadžića w zamian za odpowiednią kwotę, pozwalały uniknąć wyroku.

Z powołania jest poetą, jednym z najbardziej znanych serbskich piór, którego utwory, przed laty, drukowała między

innymi nasza „Literatura na Świecie”. Jeden ze swych tomików, „Szalony oszczep”, wydany w roku 68, zadedykował Josipowi Bros Tito. „Szanowny i ukochany Tito - napisał na pierwszej stronie tomiku - byłbym niezmiernie szczęśliwy, gdybym wiedział, że ta książka trafi do waszych rąk. Wasz Radovan Karadžić”.

Podjeżdżany o współpracę

Czołobitność w stosunku do komunistycznego przywódcy nie przeszkadzała mu należeć do kręgu młodych serbskich intelektualistów, którzy w 1968 prowadzili antykomunistyczną konspiracyjną. Karadžić brał udział w studenckich demonstracjach w Belgradzie i jako jeden z nielicznych, nigdy nie poniósł tego konsekwencji. Przyjaciele przypominają sobie, że zawsze bardzo interesował się wszystkim i wszystkimi oraz zadawał wścibskie pytania. W ten sposób pośród jego rówieśników zaczęło kiełkować podejrzenie, że Karadžić jest prowokatorem i agentem bezpieczeństwa. To, co działo się z nim potem, przypuszczenia te w dużej mierze potwierdziło.

Gdyby nie tacy ludzie, jak on - powiedział mi Branco Perić w Mostarze - wojna na Bałkanach prawdopodobnie by nie wybuchła. - Wojna bałkańska była bowiem przede wszystkim wojną między politycznymi przywódcami, z których każdy miał zbyt rozbudzone ambicje

i chciał zdobyć dla siebie własne księstwo do rządzenia. To, że ludzie w tych dążeniach ich poparli, jest dowodem zbiorowego obłądki, który wszystkich w pewnej chwili ogarnął. Dziś lepiej niż kiedykolwiek wiemy, że do wyleczenia się z niego na pewno nie potrzeba ani psychiatrów, ani poetów.

Kryteria etniczne

Polityczna kariera Karadžića przyspieszenia nabrała w 1991 roku, gdy było już jasne, że komunizm w Jugosławii na pewno się nie odrodzi. Jego liryka trafiła wtedy na polityczne plakaty, jego samego natomiast obwołano narodowym trybunem. Nikt inny jakoś nie palił się do tej roli, a on w pewnej chwili uwierzył, że dla swego narodu może stać się mężem opatrnościowym. Był to czas, gdy powstało niezależne państwo Bośnia i Hercegowina, a Karadžić twierdził, że w jego ramach musi powstać niezależna serbska enklawa, połączona specjalnymi więzami z Nową Jugosławią, czyli z Serbią i Czarnogorą.

- Obecnych granic nie oparto ani na zasadach demograficznych, ani na woli narodu - tłumaczył w tamtym czasie dziennikarzom. - Muszą one zostać zmienione, im prędzej tym lepiej. Uważam - kontynuował - że w czasie ich modyfikacji powinny być stosowane jedynie możliwe zasady - kryteria etniczne.

Radovan Karadžić

Sarajewo

Płonie miasto jak cząstka kadzidla w tym dymie nasza świadomość się wije. Miastem idą puste ubrania. Czerwień. Kamień wbudowany w domy, umiera. Dżuma. Spokój. Maszeruje oddział opancerzonych topoli. Ja wiem, że to wszystko jest tylko przygotowaniem do krzyku: co przeznaczył nam czarny metal w garażu?

(1970)

Tłum. Ana Uzelac



Rys. Bartłomiej Broń

- Sarajewo powinno być podzielone na dzielnicę serbską, chorwacką i muzułmańską, by narody, które tego nie chcą, nie musiały żyć razem ze sobą - wspomina słowa Karadžića ostatni ambasador w Belgradzie Warren Zimmermann w artykule w „Foreign Affairs”. - Jak macie zamiar to zrobić? - pytał szczerze zdziwiony ambasador świadom, że jeszcze nigdy w historii Sarajewa nie istniały jasno zaznaczone narodowe dzielnice. - Murami - odparł bardzo rzeczowo Karadžić. - Wyobrażam sobie Sarajewo tak jak Berlin, oczywiście gdy istniał tam jeszcze mur berliński.

Pomysł powołania do życia państwa serbskiego na terenach Bośni, rozumiał on przede wszystkim w kategoriach konfliktu między wyznaniem. Serbska Bośnia - zdaniem polityka-poety - miała stanowić barierę przeciwko inwazji islamu. - Islam jest obcym ciałem w Europie, islam to przede wszystkim gniew - pouczał Karadžić jeszcze w czasie konferencji pokojowej w Londynie. - Gniew można zwalczać na dwa sposoby: jeszcze większym gniewem, albo gniewem podsztywnym ogniem.

Dwa zarzuty

W czasie dwuletniej wojny zasadę tę bośniaccy Serbowie stosowali w praktyce. Dziś rezultat jest taki, że na Karadžiću ciąży dwa zarzuty - po pierwsze, że swą narodową retoryką przyczynił się do wybuchu wojny; po drugie - że dopuścił do masakry ludności muzułmańskiej

w Srebrenicy, po tym jak tamtejsza strefa bezpieczeństwa została zdobyta przez siły serbskie w lipcu 1995. Pierwszego zarzutu nie sposób udowodnić i radę sobie z nim da każdy adwokat, natomiast zarzut drugi może okazać się bronią obosieczną. Dlaczego? Bo o współsprawstwo tej samej masakry można oskarżyć Holendrów z sił zbrojnych ONZ, których zadanie polegało na ochronie muzułmanów ze Srebrenicy, a którzy na widok szturmujących Serbów po prostu złożyli broń. Oprócz tego ewentualne zeznania Karadžića przed międzynarodowym trybunałem mogłyby obciążać prezydenta Serbii, Slobodana Miloševića, który uznawany jest za jednego z architektów pokoju na Bałkanach.

Teoretycznie więc Karadžić ma zabezpieczenie, i to z dwóch stron jednocześnie. W niczym nie zmienia to faktu, że - co wiadać na telewizyjnym ekranie - czuje się on teraz dużo mniej pewnie niż poprzednio i ma coraz bardziej chmurne oblicze. Czy Karadžićowi, poecie, psychiatrze i politykowi grozi najprawdopodobniej depresja? - zastanawiają się jego serbscy zwolennicy, którzy są zdania, że ich przywódca jest największą ofiarą wojny i staje się łatwym łupem dla międzynarodowej nagonki. Mniej przychylni Karadžićowi pytają to zamieniając: Czy psychiatra sam będzie musiał szukać azylu kładąc się na psychiatrycznej kozetce?

Roman Warszawski



ONZ-owski trybunał do spraw zbrodni wojennych na obszarze byłej Jugosławii wydał 11 bm. międzynarodowy nakaz aresztowania przywódcy Serbów bośniackich Radovana Karadžića i dowódcy sił serbskich w Bośni, generała Ratko Mladicia. Nt. general Ratko Mladić i Radovan Karadžić podczas spotkania z prasą w Pale 5 sierpnia 1993 roku.

Fot. PAPICAF

Nie opodal centrum starego miasta przy Husovej w Pradze znajduje się klasztor ojców dominikanów. Jeszcze w 1990 roku był tutaj Instytut Marksizmu i Leninizmu, a cele zakonników zajmowali agenci, tropiący amerykańską dywersję. A w latach osiemdziesiątych obecny prowincjał zakonu ojców Dominik siedział celi w celę z obecnym prezydentem Havlem.

Prowincjał z podziemia

osiemdziesiątych był u św. Miłkołaja w Gdańsku.

Zakonników wywieziono do obozów pracy. Niektórych starych i słabych zwolniono. Jednak na pracę duszpasterską trzeba było mieć państwowe pozwolenie. Za posługę kapłańską bez pozwolenia, komunistyczny reżim wysyłał do więzienia. Dozowaną przez władzę działalność duszpasterską można było prowadzić przy kościołach parafialnych. Życie zakonne było zakazane.

Zakony zeszyły do podziemia

Ojciec Stanisław prowadził mnie do Dominika Duki, obecnego prowincjała. On właśnie odbywał nowicjat w podziemiu.

W latach pięćdziesiątych byłem klerykiem w seminarium w Witomierzycach. Całą moją wiedzę o zakonie dominikanów czerpałem jedynie z książek i czasopism, które zachowały się z przedwojennych i powojennych czasów do 1948 roku.

liśmy nowicjat w podziemiu. Działalność duszpasterską ojciec Dominik rozpoczął w archidiecezji praskiej.

Kapłan - robotnik

Miał państwowe pozwolenie na odprawianie mszy św. Po 5 latach odebrano mu pozwolenie. Od tej chwili mógł odprawiać mszę św. tylko sam, w swoim pokoju. Ojciec Dominik konspirował. Oficjalnie (Jaroslav Duka) kapłan i zakonnik przez piętnaście lat pracował w fabryce Škoda jako kreślarz. W końcu, za tajne kierowanie zakonem, trafił do więzienia w 1981 r., w czasie stanu wojennego w Polsce. Czescy komuniści wystraszyli się tego co wydarzyło się w Polsce i na równi z opozycjonistami z Kartą '77 prześladowali Kościół katakumbalny.

Różaniec z Havlem

W więzieniu ojciec Dominik siedział 15 miesięcy. W sąsiedniej celi był Wacław Havel obecny prezydent. - Jeden ze

ciec Dominik tłumaczy pochodzeniem. - Pochodził z typowej praskiej rodziny burżuazyjnej. Jego dzieciństwo było związane z Kościołem katolickim; miał francuską guwernantkę, która była praktykującą katoliczką. Był ochrzczony, przystąpił do pierwszej komunii św. i był bierzmowany. Dopiero młodość i wiek dojrzały popchnęły go w kierunku agnostycznym - wyjaśnia.

Oprócz wspólnych modlitw ojciec Dominik dyskutował z Havlem o Bogu - Czy jest Bóg osobowy, czy Bóg to tylko coś transcendentalnego? Tu nie doszliśmy do uzgodnień - mówi uśmiechając się ojciec Dominik. - Dla niego problemem była postać Jezusa Chrystusa - dodaje.

Kamyk

prezydenta Masaryka

O Havlu, tym z czasów opozycji i prezydencie, ojciec Dominik opowiada z szacunkiem i sympatią. Gdy pytam o kontakty obecne z prezydentem, odpowiada, że są, ale nieczęste. - On zajęty, ja zajęty. Przy okazji ujawnia niektóre słabości prezydenta. - Jego męczą i denerwują publiczne wystąpienia. Zwraca uwagę, że prezydent w trakcie reprezentacyjnych wizyt i przemówień często trzyma rękę w kieszeni marynarki. - On tam ma talizman - kamień od prezydenta Masaryka.

Gdy pytam, czy prezydent jest Kościołowi życzliwy? - Na pewno - odpowiada bez wahania. Przyznaje, jednak że był pewien kryzys, ale teraz mija. Prezydent, jak wiadomo, był przeciwnikiem podziału Czechosłowacji. Liczył, że Kościół będzie fundamentem tej jedności, jednak biskupi słowaccy poparli secesję. - Jestem przekonany, że ten kryzys już minął - mówi i podkreśla, że prezydent regularnie, raz na 2 miesiące spotyka się z kardynałem Vlkem, prymasem Czech. Jest co prawda problem własności Katedry na Hradczanach. Kościół spiera się o nią z państwem w sądzie, ale to nie wina prezydenta, lecz jednego z urzędników, który jest teraz ambasadorem w Moskwie. - Gdy Havel został prezydentem przyszedł z kluczami od katedry do kardynała Tomaška, to on ich nie przyjął, bo to nie tylko kwestia kluczy, to przede wszystkim sprawa uregulowania jej materialnego i finansowego statusu - tłumaczy ojciec prowincjał.

Szpiedzy w celach

Dopiero w lipcu 1990 roku dominikanie odzyskali pięć cel



Praga - widok na kościół św. Julii, własność zakonu dominikanów.

Fot. OP, Praha

na II piętrze, na którym była szkoła szpiegów i Instytut Techniczny. 15 agentów zajmowało się Amerykanami. Przez kilka miesięcy wszyscy razem egzystowali na jednym piętrze. Ojciec Dominik mówi, że najgorzej było z tymi na I piętrze z Instytutu Marksizmu i Leninizmu. Oni bardzo walczyli, aby nadal pozostać w klasztorze.

Czas pracy duszpasterskiej w podziemiu ojciec Dominik wspomina z nostalgią. - To był radosny okres - ciągle kontakty z młodzieżą - wspomina i narzeka, że ma teraz więcej biurokratycznej pracy

Przez granicę

Po listopadzie 1989 roku Kościół katolicki odzyskał bardzo wielki prestiż - podkreśla ojciec Dominik. Ale po 40 latach drastycznych represji w Czechach brakuje księży, zakonników i wykształconego laikat.

Ojciec Dominik mówi po polsku. Naszego języka nauczył się, żeby słuchać Radia Watykan i Wolnej Europy, bo audycje po czesku były bardzo zagłuszone. Później doskonalił język polski w bezpośrednich kontaktach z polskimi współpracownikami, którzy przyjeżdżali do

Czechosłowacji, by uczyć filozofii i teologii.

Współpraca z polskimi dominikanami zaczęła się w 1956. W latach siedemdziesiątych polski prowincjał o. Michał Mroczkowski miał uprawnienia generała, był delegatem dla zakonu w Czechosłowacji. Wzajemne kontakty nasiliły się, gdy papieżem został Jan Paweł II. Klerycy wyjeżdżali do Polski na wakacje. Przechodzili z plecakami przez zieloną granicę. Ojciec Dominik pierwszy raz zieloną granicę przekroczył w 1968 roku. Przewiozł wtedy do Krakowa statut prowincji. Po powrocie było gorąco, bo okazało się, że aresztowano prowincjała zakonu. Po agresji sowieckiej czechosłowacka opozycja wydała głośne memorandum. Były podejrzenia, że to mógł wywieźć ojciec Dominik. Na szczęście służba bezpieczeństwa niczego nie wykryła.

Ojciec Stanisław Tasiemski opiekuje się pracującymi i przebywającymi w Pradze Polakami. Na mszę św. w niedzielę do kościoła św. Julii przybywa od 200 do 300 Polaków. Przychodzi także razem z rodziną polski ambasador.

Barbara Madajczyk-Krasowska



Ojciec Dominik dyskutował z Havlem o Bogu. Czy jest Bóg osobowy, czy Bóg to tylko coś transcendentalnego? - Tu nie doszliśmy do uzgodnień - mówi uśmiechając się ojciec Dominik. - Dla niego problemem była postać Jezusa Chrystusa.

Fot. BMK

wtedy 85, w Pradze 8. Cały klasztor odzyskali na początku 1991 r.

Zakonnicy w obozie

Klasztor przestał istnieć w nocy z 13 na 14 kwietnia 1950 roku. Internowano wtedy wszystkich zakonników w tu-tejszej wspólnoty - opowiada ojciec Stanisław Tasiemski, który od roku przebywa we wspólnoty dominikanów w Pradze. Pod koniec lat

Jeden ze współseminarzystów zapytał mnie, czy chciałbym odwiedzić ojca Metodego Habania, prowincjała z czasów II wojny światowej. Byłem przekonany, że jest w więzieniu - wspomina ojciec Dominik. - Jak się okazało, był proboszczem parafii w zachodnich Czechach. Otrzymał on specjalne uprawnienia generalskie (najwyższe zwierzchnictwo w zakonie - przyp. bm). I tak w trójkę wraz z jeszcze jednym z braci w 1957 roku rozpoczę-

współwięźniów uprzedził mnie, że na spacerze podejdzie do mnie mężczyzna z cukrem i herbatą, to będzie Havel. Tak wyglądało nasze pierwsze spotkanie - wspomina. Havel dał mu herbatę, cukier i specjalne bony na drobne zakupy, bo w więzieniu nie można było mieć pieniędzy. Od tego czasu ich wzajemne kontakty były coraz częstsze. Odmawiali nawet wspólnie różaniec.

Wrażliwość religijną Havla, uchodzącego za agnostyka, oj-



Dziś rozpoczynają się w Atlancie 26. Letnie Igrzyska Olimpijskie. Sportowcy rywalizować będą o 271 złotych medali. A co działo się przed Atlantą, jaka jest historia nowożytnych igrzysk, poczynając od Aten 100 lat temu? O tym w naszych migawkach. Ograniczamy się z konieczności do najbardziej charakterystycznych wydarzeń oraz dorobku Polaków, w tym wybrzeżowych olimpijczyków.

ATENY - ATLANTA

Uprawa rzepaku z herbicydem

Butisan® 400 SC

to gwarantowany sukces



Rzepak może osiągnąć wysokie plony, rolnicy muszą mu tylko w tym pomóc stosując

Butisan 400 SC,

który uwalnia rzepak od konkurencji chwastów od początku jego vegetacji, stwarzając mu optymalne warunki rozwoju.

Termin stosowania:

- przed wschodami - jeśli nie występuje ekstremalna susza
- po wschodach - bardzo skuteczny jest zabieg od fazy liścieni do fazy 2 liści chwastów
- zalecana dawka 2,5 - 3,5 l/ha w zależności od zachwaszczenia

Focus Ultra 100 EC zwalcza skutecznie samosiewy zbóż i perz w uprawie rzepaku.

Termin stosowania: gdy rośliny rzepaku wykształciły co najmniej pierwszą parę liści:
• do zwalczania chwastów jednorocznych np. samosiewów zbóż w dawce 1 - 1,5 l/ha
• do zwalczania perzu w dawce 3 - 4 l/ha

Butisan 400 SC i Focus Ultra 100 EC są podstawą optymalnej uprawy rzepaku.

Główny dystrybutor firmy BASF w Państwa rejonie:

Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Handlowe
BADEX Sp. z o.o. joint venture
83-110 Tczew, ul. 30 Stycznia 37
tel. (0-69) 31-57-53, 31-13-84
fax (0-69) 31-57-54, tlx 0512097

® = znak rejestracyjny firmy BASF

Ochrona roślin

BASF



Paweł Kowalski

Artur Partyka nie zawodzi w imprezach najwyższej rangi światowej. Ma duże szanse „wyskoczyć” medal w Atlancie.
Fot. Maciej Kostan

Ateny, 1896: bez kobiet

Pierwsze nowożytne igrzyska zgromadziły ponad 300 sportowców, wyłącznie mężczyzn, przy czym najliczniejszą ekipę - 230 osób wystawili gospodarze. Program igrzysk obejmował 9 dyscyplin: lekkoatletykę, szermierkę, gimnastykę, pływanie, kolarstwo, zapasy, podnoszenie ciężarów, tenis i strzelanie. Pływacy rywalizowali na pełnym morzu, a dwie spośród trzech konkurencji wygrał Węgier Alfred Hajos. Grekom nie szło na igrzyskach zbyt dobrze. Kiedy jednak bieg maratoński na historycznej trasie z Maratonu do Aten choć nieco innymi drogami wygrał Spiridon Luis (po drodze pragnienie

ugasiał kubkiem wina) greckie kobiety w szale radości rzucały mu pod nogi pierścionki i naszyjniki. Na ramionach został zaniesiony do łoża królewskiej.

Paryż, 1900: bez medali

Połączenie igrzysk ze światową wystawą okazało się niefortunne dla tych pierwszych. Ginęły one w cieniu eksponatów. Zwycięzcy - jak się później okazało - jedyny raz w dziejach nowożytnych zmagani olimpijskich nie byli nagradzani medalami, ani dyplomami, lecz upominkami rzeczowymi. Indywidualnością paryskich igrzysk był amerykański lekkoatleta, Alvin Kraenzlein, zdecydowany zwycięzca czterech konkurencji.



Centrum olimpijskie w Atlancie z fot.

Saint Louis, 1904: najdłuższe

Z racji bardzo dobrej postawy i wielu zwycięstw na poprzednich igrzyskach, organizację tych w 1904 r. powierzono Amerykanom. Ciągnęły się one bardzo długo - od 1 lipca do 29 października. W lekkoatletyce aż czterech Amerykanów zdobyło po trzy złote medale.

Londyn 1908: dramat maratończyka

Wielki opisywany szeroko dramat przeżył włoski maratończyk, Dorando Pietri. Biegacz Italii niczym zamroczony bokser pokonywał ostatnie metry, tak bardzo był wyczerpany. Mdał, pełzał, podnosił się. Pomógł mu dobiegnąć do mety pełniący funkcję sędziego, znany pisarz Arthur Conan Doyle. On i jeden z policjantów ująwszy Włocha pod ramiona, doprowadzili go do mety. O dyskwalifikacji Pietri dowiedział się w szpitalu.

Sztokholm, 1912: słynna dyskwalifikacja

W klasyfikacji medalowej zwyciężyli Szwedzi - 24 złote krążki. Tyle samo zdobyli Amerykanie, ale srebrnych o pięć mniej. Bohaterem igrzysk był jednak fenomenalny lekkoatleta, Indianin Jim Thorpe (USA) - bezprzykładny zwycięzca w 5-boju i 10-boju, za każdym razem z rekordem świata. W 1913 r. MKOl. dyskwalifikował jednak Indianina i odebrał mu medale za to, że występując w latach 1909-1910 w drużynie baseballu, pobierał wynagrodzenie 60 dolarów miesięcznie. Walka o przywrócenie czci najwszechstronniejszemu lekkoatlecie tamtych czasów trwała długo i zakończyła się dla niego wreszcie pomyślnie.

Berlin, 1916: bez igrzysk

Tu miały się odbyć szóste igrzyska ale zostały odwołane na skutek toczącej się I wojny światowej.

Antwerpia, 1920: wielki niemowa

Druzgocąca przewaga sportowców USA. Pierwsze wielkie sukcesy święcił świetny długodystansowiec fiński, zwany wielkim niemową, Paavo Nurmi, któremu później rodacy wystawili za życia pomnik. W Antwerpii o laury ubiegało się 2500 osób, w tym 74 kobiety. Mieli po odzyskaniu wolności startować Polacy, został powo-

łany Polski Komitet Igrzysk Olimpijskich, ale wybuch wojny polsko-bolszewickiej uniemożliwił naszym sportowcom wyjazd do Antwerpii.

Paryż, 1924: wreszcie Polacy

Do igrzysk nie dopuszczono (ponownie) ekipy Niemiec - państwa odpowiedzialnego za wybuch I wojny światowej. Pierwszy start Polaków po odzyskaniu niepodległości państwowej uwieńczony został srebrnym medalem czwórki naszych kolarzy torowych (Józef Lange, Jan Łazarz, Tomasz Stankiewicz i Franciszek Szymczyk) oraz brązowym kawalerzysty, por. Adama Królikiewicza w konkursie skoków konnych. W pływaniu klasą dla siebie był Amerykanin Johny

Weismueller, późniejszy odwróca roli Tarzana.

Amsterdam, 1928: złoty dysk

Historyczne zwycięstwo Haliny Konopackiej w rzucie dyskiem i pierwszy w historii nowożytnych igrzysk złoty medal dla Polski. Pełna wdzięku, urodziwa Polka (wzrost 175 cm, waga 62 kg) została wybrana miss lekkoatletek. Oto osobiste wrażenia Konopackiej, spisane na łamach „Stadionu”: „Z trudem tylko słyszę okrzyki: Polska!, Halina! I czuję, że ci ludzie dopominają się o hymn i sztandar. Jestem ogromnie podniecona. Moja mała białoczerwona chorągiewka z boiska musi wyrosnąć w wielki sztandar i zawisnąć na najwyższym maszcie. Nie wiem, czy któraś z konkurentek przystępowała

do rzutów z tak mocnym pragnieniem zwycięstwa (...). Zwyciężyłam i nie miałam siły cieszyć się. Widziałam, jak wszyscy cieszą się wokół mnie, oszalały mi serdeczne uściski dłoni, zewsząd płynące objawy sympatii, swoich i obcych i te powodzie kwiatów, kwiatów...”. Wówczas medale przyznawano także w olimpijskim konkursie sztuki. Złoty zdobył w dziale sztuki Kazimierz Wierzyński za zbiór wierszy „O laur olimpijski.”

Los Angeles, 1932: jubileusz

Niejako w geście uznającym dotychczasowe osiągnięcia sportowców amerykańskich, przyznano jubileuszowe X igrzyska Stanom Zjednoczonym - kalifornijskiemu miastu Los Angeles. Tu Polacy mieli

wielkie indywidualności. Janusz Kusociński przerwał hegemonię Finów na długich dystansach, triumfując w biegu na 10 km, zaś Stanisława Walasiewiczówna na 100 m.

Berlin, 1936: brunatny cień

Cień ideologii faszystowskiej położył się na tych igrzyskach. Niemcy bezwzględnie wykorzystali je do celów propagandowych. Gigantyzm i faszystowski klimat zostały szeroko opisane. Trzeba jednak przyznać, że pod względem przygotowania swojej ekipy i wyników swoich reprezentantów Niemcy zdołali prześcignąć Amerykanów, zdobywając więcej od nich medali. Klasą dla

Dokończenie na str. 14

Gratka

DZIENNIK BAŁTYCKI

SOBOTA, 27.07.

DODATEK BEZPŁATNYCH I PŁATNYCH ANONSÓW

CO ZROBIĆ

żeby Twoje ogłoszenie drobne ukazało się ZA DARMO?

1 Kup „DZIENNIK BAŁTYCKI”

2 Wytnij kupon

3 Wrzuć wypełniony kupon do skrzynki przy Biurze Ogłoszeń „DB” lub wyslij listem, kartką pocztową tak, aby trafił do czwartku, do godz. 12 do Biura Ogłoszeń, lub skrzynki „Gratki”

4 Ogłoszenie ukazuje się w „Gratce” - dodatku do „DB” za darmo

BIURA OGŁOSZEŃ

„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO” przy których znajdują się skrzynki „Gratki”:

Gdańsk, Centralne Biuro Ogłoszeń: 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, Gdynia, ul. Władysława IV 17, Gdynia, ul. Świętojańska 141 b, Sopot, ul. Kościuszki 61, Pruszcz Gdański, ul. Tysiąclecia 8, Tczew, ul. 1 Maja 4, Elbląg, ul. Łączności 3, Starogard Gdański, ul. Basztowa 3, Wejherowo, ul. Sobieskiego 270

Do wiadomości biura ogłoszeń	Nie zapomnij!
Imię i nazwisko adres numer dowodu osobistego telefon podpis	Wytnij kupon - 1 wrzucić do skrzynki „Gratki” przy Biurach Ogłoszeń lub 2 przesłać pocztą pod adresem 80-886 Gdańsk, Targ Drzewny 3/7 Centralne Biuro Ogłoszeń „Dziennika Bałtyckiego” * TYKO DLA OSÓB PRYWATNYCH * - W TREŚCI OGŁOSZEŃ DO PODRUBRYK ODMÓWIĆ NIEJĄC PODAĆ CENĘ - WSZYSTKIE CENY W NOWYCH ZŁOTYCH POLSKICH - OGŁOSZENIA W RUBRYKACH: ODDAM ZA DARMO I PROSZĘ O POMOC MOŻNA NADAĆ TYKO OSOBIŚCIE W BIURACH OGŁOSZEŃ - W OGŁOSZENIU PODAĆ: MIEJSCOWOŚĆ, ADRES, NUMER TELEFONU - BIURO OGŁOSZEŃ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO DO ZREDAKOWANIA I SKLASYFIKOWANIA OGŁOSZEŃ LUB JEGO NIEZAMIESZCZENIA

spis rubryk i podrubryk

1 AUTO-MOTO	7 NARZĘDZIA
1A sprzedam samochód osobowy	7A sprzedam
1B sprzedam samochód ciężarowy	7B kupię
1C sprzedam motocykl	8 MATERIAŁY BUDOWLANE
1D sprzedam przyczepę	8A sprzedam
1E sprzedam części zamienne	8B kupię
1F sprzedam inny pojazd	8C usługi
1G kupię samochód	9 TURYSTYKA I SPORT
1H kupię inny pojazd	9A sprzedam sprzęt
1I kupię części zamienne	9B kupię sprzęt
1J zamienię samochód	9C wypocznik
1K zamienię inny pojazd	9D przejażdż
1L skradziono	9E serwis
1M usługi motoryzacyjne	10 ZDROWIE
1N taxi	10A sprzedam
1O autostop	10B kupię
	10C usługi medyczne
2 PRACA	11 ODIĘŻ
2A poszukuję pracy	11A sprzedam
2B dam pracę	11B kupię
3 NIERUCHOMOŚCI - DOM	12 NAUKA
3A sprzedam mieszkanie	12A oferuję
3B sprzedam dom	12B poszukuję
3C sprzedam domek letniskowy	13 ZWIERZĘTA I ROŚLINY
3D sprzedam inny lokal	13A sprzedam zwierzęta
3E sprzedam działkę budowlaną	13B sprzedam rośliny
3F sprzedam działkę ogrodniczą	13C kupię zwierzęta
3G sprzedam inną parcelę	13D kupię rośliny
3H kupię mieszkanie	14 FOTO
3I kupię dom	14A sprzedam
3J kupię inny lokal	14B kupię
3K kupię działkę budowlaną	14C zamienię
3L kupię działkę ogrodniczą	14D usługi
3M kupię inną parcelę	15 MUZYKA
3N zamienię mieszkanie lub inną parcelę	15A sprzedam
3O poszukuję mieszkania	15B kupię
3P poszukuję innego lokalu	15C zamienię
3R odnajmę mieszkanie	15D usługi
3S odnajmę inny lokal	16 HOBBY
3T pośrednictwo	16A sprzedam
4 WYPOSAŻENIE MIESZKAŃ	16B kupię
4A sprzedam	16C wymienię
4B kupię	17 RÓŻNE
4C serwis	17A sprzedam
5 RTV	17B kupię
5A sprzedam	17C zgubiłem
5B kupię	17D biznes
5C zamienię	18 MATRYMONIALNE
5D serwis	19 ODDAM ZA DARMO
6 KOMPUTERY	20 PROSZĘ O POMOC
6A sprzedam komputer	21 ŻYCZENIA
6B sprzedam inny sprzęt komputerowy	22 HYDE PARK
6C kupię sprzęt komputerowy	
6D zamienię sprzęt komputerowy	
6E serwis	

27.07

podrubryki

rubryki

30

ATENY - ATLANTA

Dokończenie ze str. 12 - 13

siebie był czarnoskóry lekkoatleta, Jessie Owens, który zdobył 4 złote medale.

Londyn, 1948: złota „Fanny”

Londyn nie zabliźnił jeszcze wojennych ran, ale w przeprowadzeniu igrzysk pomogły Brytyjczykom inne państwa. Np. Holendrzy dostarczyli 100 ton owoców i warzyw, Duńczycy i Irlandczycy postarali się o świeże jaja, a Czesi o 20 tys. butelek wody mineralnej. Multum medali zdobyła 30-letnia Holenderka, matka dwojga dzieci „Fanny” Blankers-Coen. Wygrała biegi na 100 i 200 m, na 80 m ppł i wraz z koleżankami sztafetę 4x100 m. Londyńska olimpiada zapoczątkowała pasmo sukcesów czeskiego biegacza, Emila Zatopka. O brązowy medal dla Polski postarał się „bombardier Wybrzeża”, gdański bokser Aleksy Antkiewicz. Po raz ostatni przeprowadzono olimpijski konkurs sztuki, w którym złotym medalem nagrodzono polskiego kompozytora Zbigniewa Turskiego za „II Symfonię Olimpijską”.

Helsinki, 1952: Chychła

Znowu wybrzeźowi sportowcy postarali się o największe laury dla Polski. Pięściarz Zygmunt Chychła z Gedanii sięgnął po złoty medal w wadze półśredniej, zwyciężając w finale Siergieja Szerbakowa (ZSRR), a wcześniej wyeliminował słynnego Czechosłowaka, Juliusa Tormę. Na bieżni „szalał”

Czech, Emil Zatopek - trzy złote medale.

Melbourne, 1956: „Złota Ela”

Polacy zdobyli na antypodach ogółem 9 medali, ale ten jeden jedyny złoty wywalczyła gdańszczanka Elżbieta Duńska-Krzesińska ze Spójni w skoku w dal. „Złota Ela” z charakterystycznym długim warkoczem uzyskała rezultat na tamte czasy wspaniały - 6,35 (wcześniej na zawodach w Budapeszcie takim właśnie wynikiem ustanowiła rekord świata). Po olimpiadzie w Melbourne prawie jedna trzecia zawodników z liczącej blisko 150 osób ekipy węgierskiej postanowiła pozostać na Zachodzie, składając wnioski o przyznanie im statusu uchodźców politycznych.

Rzym, 1960:

Peck z helikoptera

Główną areną igrzysk był imponujący nowoczesnością Stadio Olimpico, zbudowany z białego marmuru z trybunami na 80 tys. widzów. Rewelacyjnie dobrze startowali Polacy, zdobywając 21 medali, w tym 4 złote. I znowu wybrzeźowe akcenty - medale, choć nie złote - lekkoatletów Elżbiety Duńskiej Krzesińskiej, Jarosławy Józwiakowskiej i Kazimierza Zimnego oraz boksera Brunona Bendiga. Wśród olimpijczyków pojawił się też m.in. znakomity aktor Gregory Peck. Zaskoczył porządkowych, którzy bezskutecznie wypatrywali go przy bramie. On zaś helikopterem wylądował w samym centrum wioski olimpijskiej i powiedział, że dałby

przynajmniej 100 tys. dolarów za znalezienie się choć raz na podium olimpijskim.

Tokio, 1964:

dzieci papy Stamma

Kraj kwitnącej wiśni był dla Polaków jeszcze gościnniejszy od Italii. Polacy zdobyli aż 23 krążki, w tym 7 złotych. Największe sukcesy święcili polscy pięściarze. „Cudowne dzieci” trenera Feliksa Stamma (Józef Grudzień, Jerzy Kulej i Marian Kasprzyk) zdobyły złoto, hartując wcześniej formę na zgrupowaniach w Cetniewie. W Tokio błysnął talent polskich sprinterek.

Meksyk, 1968: kosmiczny skok

Igrzysk doczekał się kraj latinoamerykański, położony wysoko nad poziomem morza. Tu stało się coś niezwykłego. Chudy długonogi Amerykanin Robert (Bob) Beamon stanął na rozbiegu najdalej jak tylko można od progu skoczni i sadząc potężnymi susami z ogromną szybkością poszybował w skoku w dal na kosmiczną wtedy odległość 8,90. Polacy nadal na fali: 5 złotych, 2 srebrne i 11 brązowych medali. Podobnie jak w Tokio brązowy zdobyły nasze siatkarki, a w ich składzie zawodniczka AZS Gdańsk Krystyna Malinowska-Krupowa. Medal przywiózł bokser Hubert Skrzypczak (GKS Wybrzeże).

Monachium, 1972:

krew i terror

Byłem na tych igrzyskach, które przeszły do historii jako symbol wykorzystywania olimpiady do celów politycznych. mam na myśli akt terroru członków ekstremistycznej organizacji palestyńskiej „Czarny wrzesień” wobec izraelskich olimpijczyków. W sumie zginęło 18 osób, w tym 9 zakładników i 5 terrorystów. Do momentu gdy zaczęła się łać krew, były to cudowne igrzyska. Startowało prawie 8 tys. sportowców ze 121 państw w 22 dyscyplinach. Niemiecy koledzy po fachu serdecznie gratulowali mi, gdy cię żarowiec Zygmunt Smalczer rozpoczął piękną serię medalową Polaków (w sumie biało-czerwoni zdobyli 7 złotych, 5 srebrnych i 9 brązowych krążków). Świetnie grali polscy piłkarze, a w ich składzie niezapomniany Kazimierz Deyna, rodem ze Starogardu Gdańskiego. A później ta krew...

Montreal, 1976: polscy siatkarze

Za największe i najbardziej dramatyczne wydarzenie uznali obserwatorzy skuteczną w sumie walkę polskich siatkarzy o złoty medal. Polscy olimpijczycy zdobyli na tych igrzyskach aż 26 krążków (7 zł., 6 sr. i 13 br.). Dali o sobie znać gdynianie, zdobywcy medali: kolarz Tadeusz Młynik z Floty w drużynowym wyścigu szosowym i strzelec Floty, Jerzy Greszkiewicz.

Moskwa, 1980: bojkot

Niespełna 7 miesięcy przed igrzyskami armia radziecka dokonała inwazji Afganistanu. Za-



Rekordzista świata w skoku o tyczce (6,14 na otwartym powietrzu, 6,15 w hali) Siergiej Bubka nad poprzeczką.

PAP/CAF-EPA

chód (łącznie 56 krajów) zbojkotował dlatego te igrzyska, choć niektórzy sportowcy startowali indywidualnie. Zatem znowu fatalny wpływ polityki na sport. Zniweczony został kilkuletni trud wielu potencjalnych kandydatów do medali. W atmosferze szowinistycznie reagującej widowni tyczkarz Bałtyku Gdynia, Władysław Kozakiewicz zdołał wywalczyć złoty medal, a potem znanym wymownym gestem pokazał na Łużnikach co sądzi o takiej widowni. Srebrny medal zdobyły w wioślarskiej dwójce pań Czesława Kościńska i Małgorzata Dłużewska z Gedanii.

Los Angeles, 1984: odwet

Tym razem w odwecie kraje tzw. bloku wschodniego zbojkotowały igrzyska, przy czym argumenty o niezagwarantowaniu przez gospodarzy olimpiady środków bezpieczeństwa stanowiły mało poważną wymówkę. Wielkie triumfy święcił czarnoskóry lekkoatleta amerykański, Carl Lewis, który zdobywając 4 złote medale - w biegach na 100 i 200 m, w sztafecie 4x100 m i w skoku w dal powtórzył wyczyn fenomenalnego rodaka

Jessie Owensa z igrzysk berlińskich 1936 r.

Seul, 1988: doping

Dało o sobie drastycznie znać zjawisko dopingu w sporcie (głośna dyskwalifikacja czarnoskórego sprintera kanadyjskiego, Bena Johnsona). Polacy w zdecydowanym odwrocie w porównaniu z igrzyskami Monachium czy Montrealu. Ale medale były w tym złote: wywodzącego się z Kaszuba zapaśnika Andrzeja Wrońskiego i judoki Waldemara Legienia, a srebro wywalczył m.in. judoka GKS Wybrzeże Janusz Pawłowski.

Barcelona, 1992: gimnastyk multimedalista

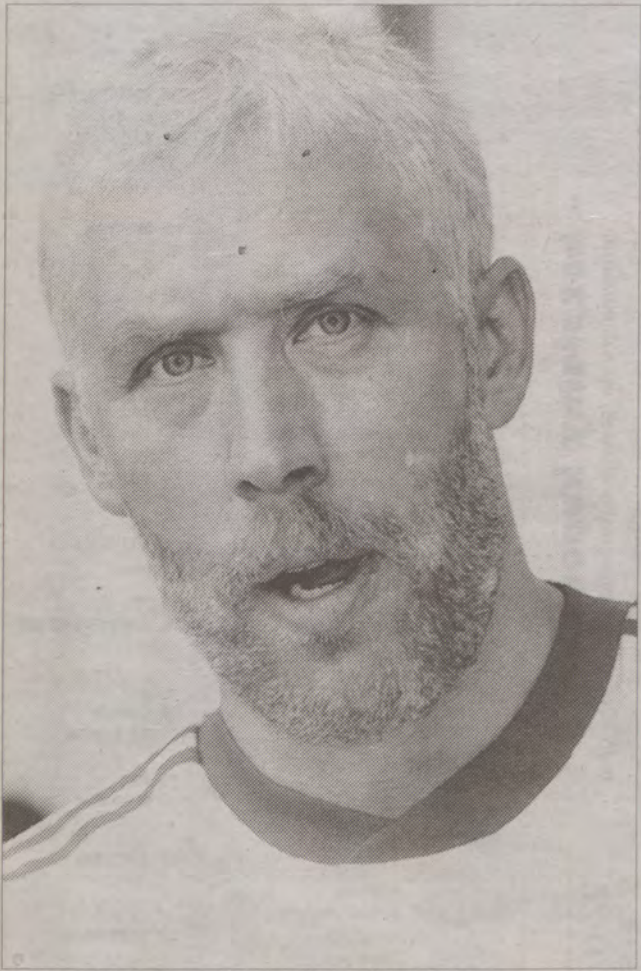
W klasyfikacji medalowej na 1. miejscu uplasowała się Wspólnota Niepodległych Państw ze 112 krążkami, w tym 45 złotymi, na 2. USA odpowiednio 108 i 37, na 3. Niemcy odpowiednio 82 i 33, na 4. Chiny odp. 54 i 16. Polacy startowali o wiele lepiej niż w Seulu, zdobyli 3 złote, 6 srebrnych i 10 brązowych krążków, co dało im 19 lokatę w klasyfikacji medalowej. Największą indywidualno-

ścią był gimnastyk WNP, Witaj Szcherbo, zdobywca 6 złotych medali. W gronie złotych medalistów znaleźli się z białoczerwonych: pięcioboista Arkadiusz Skrzypaszek, drużyna pięcioboistów i judoka Waldemar Legień. Wybrzeźowi sportowcy zdobyli 3 brązowe medale: nieżyjący już sztangista Lech Gdańsk Waldemar Malak, drużyna florecistów i wioślarska czwórka z gdańszczanami w składzie.

Atlanta, 1996: oczekiwania

Będą to pod wieloma względami rekordowe igrzyska. Wystartuje ponad 10 tysięcy zawodniczek i zawodników ze 197 państw. Rywalizować będą o 271 złotych medali. Do tego dojdzie kilkutyśięczna rzesza trenerów, masażystów, kierowników ekip, zaś sprawozdawców telewizyjnych prasowych i radiowych ma być 17 tysięcy. W Atlancie wystąpi 168 polskich sportowców. Mają zdobyć 16-19 medali (dla przypomnienia: cztery lata temu w Barcelonie uzyskali 19, w tym 3 złote).

Paweł Kowalski

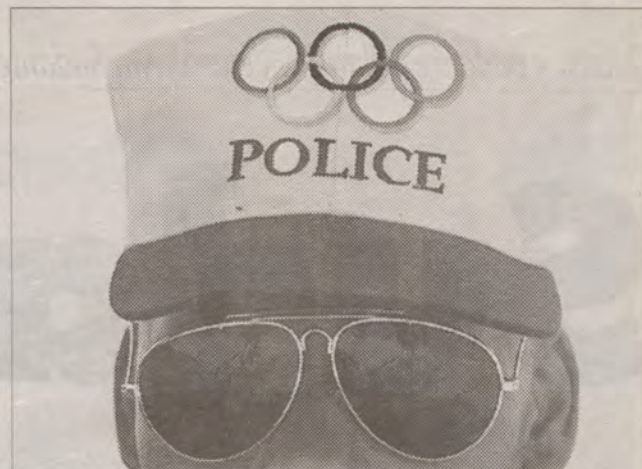


Triumfator skoku o tyczce w Moskwie, gdynianin Władysław Kozakiewicz wstawił się nie tylko sportowym wyczynem, ale i znanym gestem, którym zareagował na szowinistyczne zachowanie się widowni.

Fot. Maciej Kostun



Masowo zjeżdżają ekipy olimpijskie. Brakuje czasu, by dla każdej z nich osobno wciągać flagę na maszt. Były więc i „hurtowe” uroczystości. Na zdjęciu: idą w górę flagi Irlandii, Wysp Cooka, Gruzji, Nowej Zelandii, Somali i Liechtensteinu.



Oficer policji z Atlanty w „olimpijskim umundurowaniu”.



Nowozelandzka pływaczka Anna Simcic nawet bez słów i kostiumu może reklamować sprzęt sportowy Reeboka.

ATLANTA *za pięć dwunasta*

Fot. PAP/CAF



Na Stadionie Olimpijskim we wtorek kończono malowanie logo igrzysk.



Na terenie Stadionu Olimpijskiego, na którym nastąpi otwarcie letnich igrzysk jeszcze trwają ostatnie prace. U góry: znicz olimpijski, który zapłonie już za kilkanaście godzin oraz próba ceremonii otwarcia.

Gdańscy badacze odkryli w centralnym Sudanie stanowiska archeologiczne z rytami naskalnymi, przedstawiającymi ludzi, zwierzęta i łodzie.

Sudańskie ryty

Ryty wykonano w różnych epokach, najprawdopodobniej w okresie od późnego paleolitu, około 8 tysięcy lat p.n.e. Dotychczasowe badania w Afryce pozwoliły na odkrycie w Algierii, Libii i Namibii dużych zespołów malowideł naskalnych. Z Sudanu, jak na razie, znane są jedynie ryty.

Gdańszczanie otrzymali od władz Sudanu koncesję na prowadzenie badań archeologicznych w trzykilometrowym pasie wzdłuż prawego brzegu Nilu, na odcinku o długości 250 km, w rejonie IV katarakty. To pierwsza ekipa archeologiczna badająca ten dotychczas dziewiczy obszar. Jej członkowie w tym roku penetrowali okolice miasta Karima. Znaleźli tam 63 stanowiska archeologiczne, w tym 9, gdzie na skałach kilka tysięcy lat temu wykuto różne obrazy.

Ryty wykonano na dwóch rodzajach skał: granicie i piaszkowcu. Te ostatnie są głęboko rzeźbione (tzw. relief wklęsły), czasem jedno na drugim się nakładają. Ryty na granicie wykonano metodą zbliżoną do puncowania. Wygląda to tak, jakby z kamienia zdjęto „korę” i dyskretnie nakreślono figury.

Rodowód?

- Datowanie rytów jest bardzo trudne - mówi Elżbieta Kołosowska, archeolog z gdańskiego muzeum. - W Afryce znane jest przede wszystkim malarstwo, które na podstawie zachowanej farby, przy zastosowaniu metody badania rozkładu węgla radioaktywnego, datuje się na okres

między 8. a 4. tysiącleciem przed naszą erą. Tą metodą ryty zbadać nie można. Znalezione niedaleko rytów przedmio-

ty, np. z epoki kamienia, nie są dowodem na to, że przedstawienia wykute w skale pochodzą z tego samego czasu.

- Można zastosować metodę przypuszczeń i porównań - kontynuuje pani Elżbieta. Na przykład, na podstawie wykopalisk wiadomo, że bydło hodowlane pojawia się w neolicie datowanym dla tej części Afryki na okres od 6 do 4 tys. p.n.e. Do najmłodszych rytów zaliczają się przedstawienia z wielbłędami, gdyż wielbłądy w Afryce północnej pojawiły się dopiero w 1 tysiącleciu p.n.e.

Na kilku przedstawieniach występują łodzie wiosłowe. Takich samych używano w Egipcie do podróży po Nilu już 4 tys. lat p.n.e.

Miejsce

Wszystkie ryty znaleziono na piaszczystej pustyni, gdzie co pewien czas pojawiają się nieduże, samotnie stojące skałki - ostańce wyrastające z piasku. Niektóre znajdują się na obrzeżach współczesnych wiosek, inne są usytuowane w głębi pustyni, daleko od ludzkich osiedli.

- O jedne z nich wypytaliśmy miejscową ludność - dodaje Elżbieta Kołosowska. - Odpowiadano nam, że ryty te są i były zawsze. I że nic nie

znaczą. To taka sama skała, tylko z rysunkami - twierdzono.

Żadne z tych przedstawień nie jest kompozycją o charakterze narracyjnym, wyobrażającą scenę z życia ówczesnych społeczności. Tworzą luźne grupy nie związanych ze sobą postaci. Przedstawiają obrazki, a nie opowiadają. Na jednej ze skał wyrzyto kilka krów, w tym jedną z postronkiem, psy i zająca, człowieka oraz łódź. Na innej widnieje jeździec z wielbłądem. Na następnej, pomiędzy stadem strusi przedstawiono łodzie. Niekiedy ryto też słonie, antylopy. Pomiędzy tymi rysunkami znajdują się nie rozszyfrowane znaki.

Autorzy rytów dbali o ich ekspozycję. Żaden z nich nie jest schowany, ukryty w jaskini, tak jak to czyniono z malowidłami. Wszystkie umieszczono tak, aby z poziomu ziemi można było je zobaczyć.

Magia przedstawień

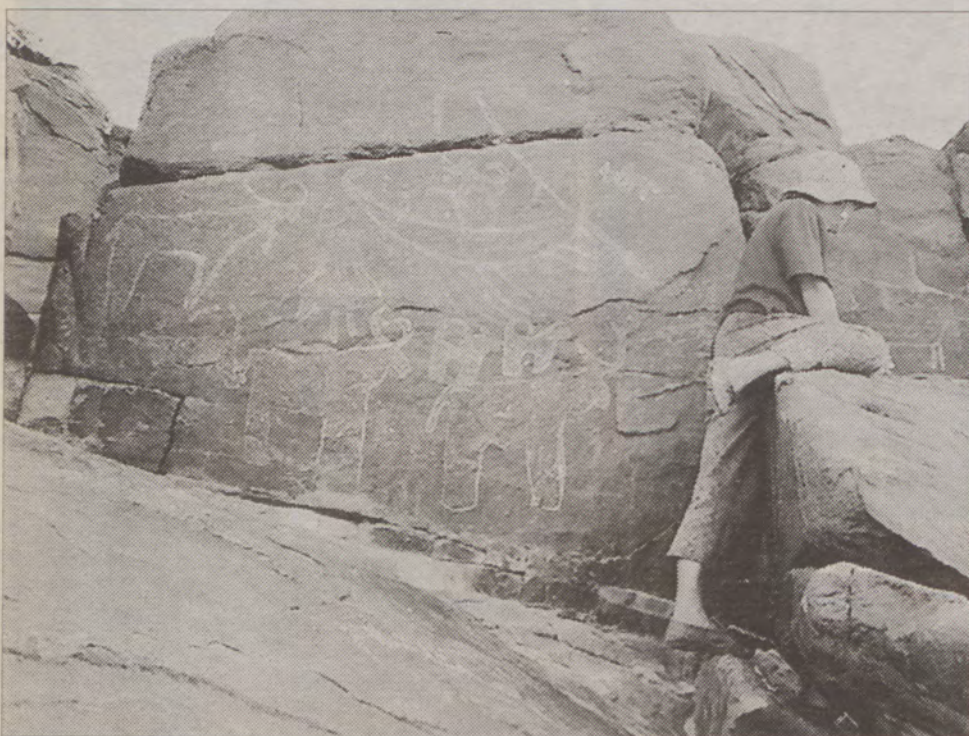
Przypuszcza się, że ryty spełniały funkcję magiczną. Łowcy rysowali zwierzęta, na które polowali, po to aby łowy były udane. W przypadku bydła chodziło o lepszą hodowlę.

Usiłowano sobie zapewnić przychylną tej zwierzęcy. Postacie ludzkie, stojące samotnie, występują tylko na dwóch przedstawieniach. Na jednym człowiek odziany w skórę, być może kobieta w spódnicę, wykuta w granitowej skale. Może też wyobrażać pasterza strzegącego krów. Drugie wyobrażenie postaci ludzkiej wyrzyto bardzo schematycznie w piaszkowcu. Najprawdopodobniej przedstawia wędrującego przez pustynię mężczyznę, wspierającego się na lasce. Kształt laski podobny jest do jednego z hieroglifów egipskich. Obok mężczyzny umieszczono zwierzęta, występujące w mezolicie, a nawet w paleolicie (datuje się na okres nie wcześniejszy niż 8 tys. lat p.n.e.).

W jednym ze skalnych siedel, w miejscu zacienionym, znakomicie nadającym się do wypoczynku, znaleziono wyrzytą w skale grę towarzyską.

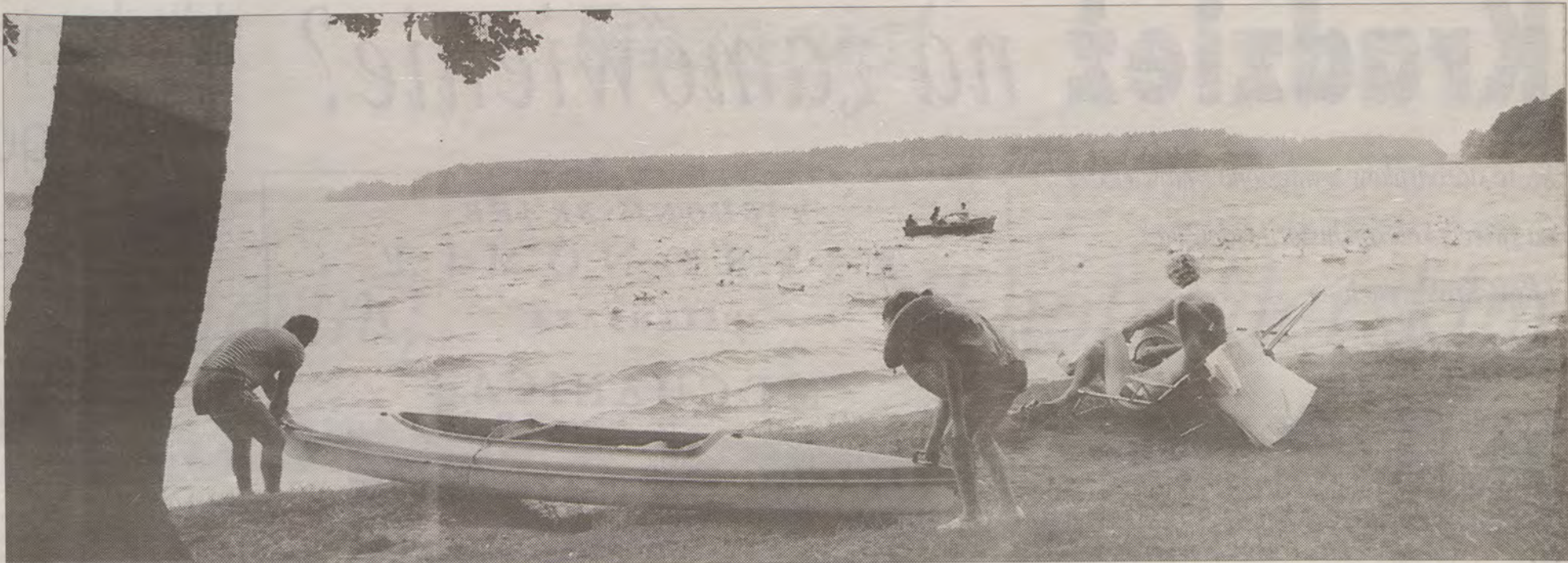
Ryty o podobnej tematyce i stylu odkrywano wcześniej w Sudanie, ale bardziej na północ od rejonu badanego przez gdańszczan, na obszarze między I i III kataraktą na Nilu.

Maria Giedz



Elżbieta Kołosowska studiuje skalne ryty odnalezione w Sudanie

Fot. Adam Kamrowski



Jak wypoczywałem nad wodą

Żagle, kajaki i kaszubskie puby

Jakie miejsce będzie dla nas najlepsze na wakacyjny, czy choćby weekendowy wypoczynek nad wodą? Z roku na rok, mamy coraz większy - ale i trudniejszy - wybór w bogatej ofercie turystycznej. Nasz reporter odwiedził kilka miejscowości w województwie gdańskim i próbował ustalić, gdzie za rozsądną cenę można wypocząć „na wodzie”

Gdańsk, jakby wbrew temu, że jest morską stolicą Polski niewiele ma do zaoferowania amatorom sportów wodnych. Cała oferta to kilka otwartych plaż, rejsy wycieczkowe po Zatoce Gdańskiej i możliwość wypożyczenia sprzętu z klubów żeglarskich. Możemy na przykład...

wypożyczyć pełnomorski jacht

Za całodobowe korzystanie z takiej jednostki z Jachtklubu Stoczni Gdańskiej zapłacimy 159 złotych. W tej chwili klub oferuje dwa takie jachty: Szafir i Karter. Nieco mniejsze jachty kabinowe dla pięciu osób, do żeglugi po Zatoce Gdańskiej i po jeziorach kosztują już od 50 do 65 złotych.

Przeciętny turysta nie ma jednak ochoty na podbój oceanów. Chętnie wypożyczyłby raczej... kajak.

Mamy jeden wolny kajak - powiedziała nam pracownica Gdańskiego Klubu Wioślarskiego Drakkar - pozostały sprzęt dawno już wypożyczono.

Choć opłatę za wypożyczenie kajaka można negocjować, oferta nie wydaje się zbyt bogata. Podobnie jest w innych klubach.

Okazuje się, że jedynym dostępnym sposobem na kontakt z wodą w Gdańsku jest spacer nad Motławą. Znajdziemy tam...

przystań białej floty

Statki wypływają stąd kilka razy dziennie na rejsy do Sopotu, Gdyni i Helu oraz na krótkie rejsy po zatoce. Wybieramy rejs do Sopotu, który ma chyba najwięcej do zaoferowania jeżeli chodzi o wypoczynek z wodą w tle. Gdy już przybijemy do najdłuższego w Europie sopockiego mola, kierujemy się ku południowej granicy Perły Bałtyku. Znajdujemy tutaj położony tuż przy plaży Sopocki Klub Żeglarski. Nazwa jest nieco myląca, bowiem tak naprawdę SKŻ jest klubem windsurfinowym. Oferuje naukę pływania na desce, wypożyczenie sprzętu i kemping. Mimo że przez cały czerwiec i lipiec kemping okupują auta z rejestracjami zaczynającymi się od liter W i K, to można spróbować namówić bosmana klubu (pana Henryka) i kierowniczkę, by znaleźli dla nas jedno wolne miejsce. Weekend w SKŻ może być dla deskarza nie mniej atrakcyjny niż np. na Helu. W tym roku przeważają południowo-zachodnie wiatry, które sprawiają, że mimo głębokiej wody fale nie są tak duże, a ślizgi na desce to prawdziwa przyjemność.

Dla nowicjuszy klub oferuje lekcje windsurfiningu po 15 zł za godzinę. To drogo - musimy więc być przygotowani na wydatek co najmniej 150 złotych na naukę podstaw pływania, zanim zaczniemy sami sobie radzić na desce.

Idziemy dalej w kierunku sopockiego mola i... nie napotykamy na żaden obiekt, który dałby nam szansę na aktywny wypoczynek nad wodą. Jest tylko darmowa plaża.

Dopiero przy drugim krańcu Sopotu w Łazienkach Północnych mieści się wypożyczalnia sprzętu wodnego. Dominują tutaj skutery wodne.

Jedziemy na Hel

Ponieważ korzystam z własnego samochodu i zabieram jeszcze dwójkę znajomych, a na dach deskę z żaglem i nadmuchiwany ponton, koszt wypoczynku nie będzie zbyt wysoki. Cały czas jednak liczę wydawane złotówki: benzyna 20 zł, pizza i herbata w nadmorskim barze nie opodal Pucka 6 zł, lody 3 zł. Zanim dojeżdżam na półwysep z kieszeni zniknęło już prawie 30 zł.

Przed nami wybór kempingu. Już u nasady półwyspu jest ich kilka - w Chałupach aż siedem. Wolne miejsca da się znaleźć, jednak właściciele niechętnie przyjmą gości na jeden lub dwa dni. Wolą turystów z głębi Polski, którzy zostaną tutaj co najmniej dwa tygodnie. Godzinę krążymy pomiędzy sześcioma kempingami. Na jednym nie chcą nas przyjąć, na drugim miejsca blisko wody są już zajęte, a na trzecim nie podoba nam się niewielka toaleta ze stojącą przed nią wielką kolejką wczasowiczów. W końcu znajdujemy coś, co jest kompromisem pomiędzy na-

Co za ile?

- | | |
|--|-----------|
| 1. Wypożyczenie kajaka (za 1 godz.) | 2-5 zł |
| 2. Wypożyczenie deski surfingowej | 15-25 zł |
| 3. Wypożyczenie żaglówki | 10-25 zł |
| 4. Wypożyczenie jachtu śródlądowego (za 1 dobę) | 50-65 zł |
| 5. Godzina nauki windsurfiningu | 10-15 zł |
| 6. Godzina nauki pływania | 10 zł |
| 7. Miejsce na polu namiotowym nad wodą | 5-15 zł |
| 8. Dzielne wyżywienie w nadmorskiej miejscowości wczasowej | 10-30 zł |
| 9. Miejsce w ośrodku wczasowym lub pensjonacie nad morzem (opłata za dobę) | 20-150 zł |
| 10. Rejs statkiem wycieczkowym | 8-25 zł |

Kaszubskie puby

Zastanawiamy się co robić dalej - słońce uparcie kryje się za chmurami, a woda w zatoce jest tak zimna, że o kąpieli można zapomnieć. Na szczęście od kilku tygodni wieje dość silny wiatr, więc posiadacze żaglówek i desek nie nudzą się. Od strony Zatoki Puckiej panuje niemały tłok, choć plaża od strony otwartego morza świeci pustkami. Po południu wybieramy się na samochodową wycieczkę na koniec półwyspu - do Helu. Miłe zaskoczenie: główna ulica miasteczka zmieniła się nie do poznania w porównaniu z tym, co było w ubiegłym roku. Pełno malowniczych

jest tak przyjemna, że nie żałujemy spędzonego w nim czasu. Wracamy po zmroku. Mijamy Jastarnię i Juratę, a z okien samochodu widać kolorowe światła dyskotek i sznury samochodów zaparkowanych w ich okolicach. Wygląda na to, że na Półwyspie Helskim łatwiej znaleźć dobry nocny lokal niż przyzwoity kemping, słońce i warunki do kąpieli.

Nad jeziorem

Po zatłoczonym Helu i okolicach kaszubski „interior” jawi się jako oaza spokoju. Wczasowiczów jest tu znacznie mniej, a w niektórych ośrodkach połowa miejsc pozostaje wolna.

Na miejsce wypoczynku nad wodą wybieramy tym razem Jezioro Ostrzyckie - jedno z największych i najbardziej malowniczych w Szwajcarii Kaszubskiej. Dojazd z Trójmiasta (50 kilometrów) kosztuje od 3 do 7 złotych (w zależności od tego, czy korzystamy z własnego auta, autobusu czy pociągu). Początkowo zamierzaliśmy wybrać ten ostatni środek lokomocji, jednak lektura rozkładu jazdy (zaledwie sześć połączeń w ciągu dnia) odrzuciła nas od romantycznej podróży kaszubską „baną”.

Zamiast jednak przeładowywać auto sprzętem sportowym, ryzykujemy i zamierzamy wypożyczyć to, co będzie nam potrzebne na miejscu.

Nie zawiedliśmy się: ośrodek wodny nad jeziorem, które wybraliśmy miał do zaoferowania łódki wiosłowe, żaglówki, rowery wodne i kajaki. Za pięć złotych pływamy po jeziorze kajakiem przez kilka godzin. Wieczorem ognisko i kielbaski kupione w pobliskim, otwartym mimo soboty, sklepie. Nocleg w namiocie rozbitym za niewielką (2 zł) opłatą u właściciela letniego domku. Następnego dnia opuszczamy przyjazne miejsce i mimo złej pogody nie mamy powodów do narzekania. Wydaliliśmy po 15 złotych na osobę, a przy tym wypoczynek był przedni, choć bez nastrojowych knajpek i rozświetlonej dyskoteki. Nie bez znaczenia był też fakt, że żeglując kajakiem po rozlewiskach ostrzyckiego jeziora nie natrafiliśmy na tłumy windsurfinowców i żeglarzy, a powrót nie był koszmarem który, jak to może się przytrafić w korku drogowym na trasie z Władysławowa do Gdyni.

Tomasz Zajac



szymi oczekiwaniami i finansowymi możliwościami. Rozbicie namiotu i ustawienie samochodu uszczupla nasz budżet o kolejne 10 zł. Mamy własny sprzęt do wodnego szaleństwa, więc nie musimy płacić za wypożyczenie łodzi, deski surfingowej, czy kajaka (od 3 do 20 zł za godzinę).

Knajpek rybackich, a miejsce pawilonów z dyktą zajęły oryginalne tawerny i restauracje rybne, choć zdarzają się dziwaczne lokale, które można by nazwać „kaszubskimi pubami”, oferujące piwo Guinness i hamburgery.

Posiłek i „coś mocniejszego” to wydatek kolejnych 30 złotych, jednak atmosfera w lokalu

Kradzież na zamówienie?

Sześć starodruków wyniesiono z największej na świecie kolekcji historii Gdańska i Prus Królewskich

Praktyka wynoszenia książek z bibliotek znana jest od starożytności. Starodruki przechowywane w zbiorach specjalnych giną bardzo rzadko. Znany jest przypadek wyniesienia kilku z biblioteki uniwersytetu we Wrocławiu. W Bibliotece Gdańskiej zdarzyło się to po raz pierwszy.

Wysoki mężczyzna o pociągłej twarzy z wydatnym nosem i ospowatej cerze, ubrany w czarny, sfatygowany sweter i ciemne spodnie pojawił się tydzień temu w Bibliotece Gdańskiej PAN przy ul. Wałowej. Poprosił o dwie książki z zasobów sprzed 1945 r. do czytelni. Długo na nie czekał, był grzeczny, spokojny, nie zwracał na siebie specjalnej uwagi. Po otrzymaniu książek pracował nad nimi. Pod wieczór poprosił o odłożenie na dzień następny. I rzeczywiście, zgłosił się po nie ponownie, równo w dwa tygodnie po uroczystościach związanych z 400 leciem istnienia biblioteki, najstarszej biblioteki miejskiej w Polsce. Wypełnił rewers, oddał pracownikowi dowód osobisty i zajął się studiowaniem książek. Kilka razy z czytelni wychodził, być może na papierosa lub do toalety. Ktoś nawet go widział, jak z kimś rozmawiał w sali katalogowej. Zniknął nie wiadomo kiedy. Pozostał po nim dowód i rewers.

Książek nie było.

Nieznany mężczyzna, posługujący się kradzionym dokumentem - jak przypuszcza policja - zamówił dwa starodruki: jeden ze zbiorów kartograficznych wydany w latach 1623-1630 we Frankfurcie, drugi - dzieło duńskiego astronoma Tychona Brahe, drukowane w 1602 r. w Norymberdze. Pech chciał, że ten drugi oprawiono w tzw. klocek, czyli w jednej oprawie było pięć starodruków. Wszystkie o astronomii. Trzy z nich pochodziły z XVI w.

Starodrukiem określa się każdą książkę drukowaną pomiędzy połową XV w. a rokiem 1800. Najstarsze i jednocześnie najcenniejsze starodruki, wydane do 1500 r. nazywa się inkunabulami. W Bibliotece Gdańskiej PAN znajduje się około 60 tys. starodruków, w tym 837 pochodzi z XV w. Jeden z nich został wykonany w roku 1498 w Gdańsku i otacza się go specjalną pieczęcią. W Polsce największe zbiory starodruków gromadzą biblioteki: Ossolineum we Wrocławiu, Jagiellonka w Krakowie,

Narodowa i Biblioteka Uniwersyteku Warszawskiego w Warszawie. Biblioteka Gdańska zalicza się do największych w Polsce północnej. Jeśli chodzi o historię Gdańska i Prus Królewskich, to jest ona największą kolekcją na świecie. Oprócz cennych inkunabulów ma duży dział poloniców, drukowanych w XVI w. Są tam między innymi kroniki Jana Długosza, Macieja Strykowski i jedyna wydana po polsku kronika Marcina Bielskiego. Cenne są również pierwodruki, np. Jana Kochanowskiego, Mikołaja Reja.

Straty wojenne

Biblioteka Gdańska przez stulecia znana była z prowadzenia cennych zakupów. Władze miasta wysyłały kurlera, który sprowadzał niemal każde dzieło wydane w Europie. Tu składano również książki z prywatnych kolekcji, m.in. rodziny Uphagenów, gdańskiego muzyka Jerzego Knopiusa.

W 1945 r. Niemcy ewakuowali zbiory biblioteki przed zbliżającym się frontem. Część starodruków wywieźli do zamku malborskiego, trochę schowali w piwnicach ratusza staromiejskiego przy ul. Korzennej. Część z nich spłonęła podczas walk. Coś wywieźli Rosjanie. Ile, jednak nie wiadomo, gdyż brakuje spisów przedwojennych. W 1956 r. część zbiorów powróciła z Moskwy. Oficjalnie straty wojenne szacuje się na 10 proc. Być może, cenne książki zginęły znacznie wcześniej. Np. z ofiarowanej kolekcji (1140 egzemplarzy renesansowych książek) Jana Bernarda Bonifacio markiza Oria zostało niewiele.

Po wojnie odkupiono nikłą część starodruków, w tym roku, ze względu na brak finansów, kupiono zaledwie jeden z poł. XVIII w. za 300 zł.

Gdzie popełniono błąd?

W bibliotece książki gromadzi się po to, aby je udostępnić czytelnikom. Dlatego nie można odmówić wydania książki nikomu. Aczkolwiek, przy udostępnianiu zbiorów specjalnych obowiązują dodatkowe utrudnienia. Na przykład w Bibliotece Ossolineum we Wrocławiu, gdzie znajduje się około 70 tys. starodruków, w tym wyjątkowo cennych z XVII w., trzeba mieć referencje. Jak powiedziała „Dziennikowi” Zofia Stankiewicz, pracownik zbiorów specjalnych z Ossolineum, starodruków nie udostępnia się każdemu. Można nad nimi



Inny egzemplarz skradzionej w BG PAN „Astronomii” Tychona de Brahe.

Fot. Robert Kwiatek

pracować jedynie w wydzielonej czytelni.

Podobnie jest w Bibliotece Uniwersyteku Warszawskiego i w Bibliotece Narodowej. W Gdańsku złodziej wykorzystał moment utworzenia wystawy związanej z 400-leciem biblioteki w czytelni naukowej. Naukowców i osoby korzystające ze zbiorów specjalnych kieruje się do czytelni ogólnej. Złodziej zamówił barwny egzemplarz „Astronomii” Tychona de Brahe. Pracownicy przynieśli mu jednak inne wydanie, czarno-białe. Niestety, oprawione z czterema dodatkowymi starodrukami. Szczęśliwie się również stało, że atlas „Widoków Miast Europejskich” wydany rok później jest w posiadaniu biblioteki.

Zginęło jednak pierwsze wydanie.

- Ta książka nie powinna była znaleźć się w czytelni - mówi Ewa Ogonowska, kierownik zbiorów specjalnych Biblioteki Gdańskiej. - Nie było jednak podstawy do odmowy jej udostępnienia. Sądzę, że była to kradzież na zamówienie. Od tego momentu wprowadziliśmy regulamin obostrzony. Nikt już tak łatwo nie wypożyczy u nas starej książki. Przed jej udostępnieniem z każdą osobą będzie rozmawiał dyrektor lub kierownik działu. Ponadto zbiory specjalne mają dodatkowe zabezpieczenia.

Jeden wyniesiony wolumin był nieco większy od encyklopedii, drugi był znacznie mniejszy. Wszyscy twierdzą, że trudno przejść z takimi

księgami pod pachą przez portiernię, a jednak nikt tego nie zauważył.

Nowy rynek

Książka może być zabezpieczeniem majątku. Stara książka jest niejednokrotnie dziełem sztuki. Ma wspaniałą oprawę, barwione miedzioryty.

- UNESCO na listę najcenniejszych książek na świecie, do tzw. pamięci świata, wpisało aż 18 pozycji z naszej biblioteki - mówi Ewa Ogonowska.

Zarówno pracownicy biblioteki, jak i policja sądzą, że w Polsce nikt nie odważy się wystawić na sprzedaż skradzionych starodruków. Niemniej kradzieży najprawdopodobniej dokonano na zamówienie bibliofila np. z zagranicy.

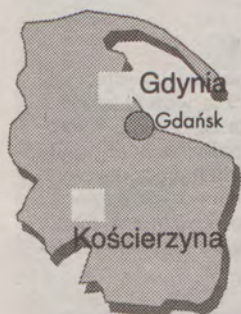
Maria Giedz

Wakacje w stogu siana

Terenami turystycznymi, które są łatwo dostępne z Trójmiasta dysponują województwa śląskie i bydgoskie. Atrakcyjny jest zarówno rejon nadmorski ze Słowińskim Parkiem Narodowym, wybrzeżem w rejonie Ustki i Jarosławca oraz pełne lasów i jezior tereny Pojezierza Kaszubskiego z Parkiem Krajobrazowym Doliny Słupi. Na południu woj. śląskiego rozciągają się lasy w dorzeczu rzeki Brdy zmierzającej do Borów Tucholskich. Na tych terenach można wypocząć również w gospodarstwach agroturystycznych. Informacja o nich w woj. śląskim dysponuje Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Strzelinie, 76-200 Słupsk 2, tel./fax (0-59)11-27-11, 11-27-48. Niestety ośrodek nie prowadzi rezerwacji kwatery. Termin, warunki pobytu i ewentualne zniżki uzgadniać należy bezpośrednio z gospodarzami telefonicznie lub korespondencyjnie. Ceny za nocleg najczęściej kształtują się w granicach 8-15 zł, w rejonie nadmorskim trochę drożej, w głębi województwa taniej. Za całodenne wyżywienie zapłacimy od 15 do 20 zł. Często gospodarze udostępniają kuchnię, w której samemu można przygotować posiłki. W każdym gospodarstwie czekają na nas większe lub mniejsze atrakcje. W rejonie nadmorskim, w Przewłocze k. Ustki można wybrać się konno drogą przez las nad morze. W Lubczewie k. Słupska w pobliskiej rzece Słupi wędkarze mogą łowić łososie. Gospodarstwa oferują wiejskie mleko, twaróg, masło, świeże jaja a także chleb własnego wypieku.

Informacja o gospodarstwach w woj. bydgoskim dysponuje Ośrodek Doradztwa Rolniczego w Minikowie, tel. (0-52) 85-90-10, 85-90-27. Niestety, tak jak w przypadku ODR w Strzelinie, nie można w ośrodku zarezerwować kwatery, wszystkie formalności należy załatwiać u gospodarzy, z nimi też należy pertraktować ceny. Trzeba jednak założyć, że za nocleg zapłacimy od 9 do 15 zł za osobę, za całodenne wyżywienie od 15 do 25 zł, dzieci do lat 10 mogą liczyć na zniżki do 50 proc. Dostaniemy też apust za pobyt ponaddwutygodniowy i poza sezonem (już w 2 poł. sierpnia). Bory Tucholskie stwarzają niepowtarzalną atmosferę wypoczynku, obfitują w runo leśne, zwierzęta, są tu trasy spacerowe i szlaki turystyczne, można wędkować, uprawiać sporty wodne a także myślistwo. Tutaj można wypocząć w rolniczych gospodarstwach, leśniczówkach, w okazałych obiektach przypominających wyglądem małe hoteliki a także w chacie krytej strzechą.

(mir)



Rusz się!

„Costerina” na Kaszuby



*Stoi na stacji lokomotywa
Ciężka, ogromna i pot z niej splywa-
tłusta oliwa.
Stoi i sapie, dyszy i dmucha
żar z rozgrzanego jej brzucha bucha*

(Julian Tuwim)

...i wraz z przyczepionymi do niej wagonami pasażerskimi stanowi pociąg turystyczny o nazwie „Costerina”.

Od 24 czerwca w każdy piątek i sobotę, punktualnie o godz. 10 odjeżdża z Gdyni Głównej do Kościerzyny pociąg o takiej właśnie nazwie. W niedzielę skład (również odjeżdżający o 10), ciągnięty jest przez wagon motorowy będący jedyną w Polsce sprawną jednostką tego typu.

„Costerina” przeznaczona jest przede wszystkim dla turystów i wycieczkowiczów - nawet tych lubiących dłużej popasać. Zatrzymuje się na stacjach, których nazwy mówią same za siebie.

Babi Dół - mała stacyjka w lesie, w sąsiedztwie uroczego przełomu rzeki Raduni będącego rezerwatem pn. Jar Raduni. Wieżyca - stacja w pobliżu góry o tej samej nazwie będącej również rezerwatem przyrody, a także miejscowości z wieloma ośrodkami wypo-

czynkowymi. Krzeszna - wieś letniskowa położona nad jez. Ostrzyckim i Patulskim - raj dla wodniaków. Gołubie Kaszubskie - wieś nad pięknie położonym wśród lasów jez. Dąbrowskim.

I tak do samej Kościerzyny co stacja to atrakcja. Niemal wszystkie miejscowości otoczone są lasami i połączone siecią turystycznych szlaków wędrownych.

Wszystkich entuzjastów turystyki i wędrowania po Kaszubach, a także grzybiarzy i wędkarzy zachęcam do korzystania z tego bardzo wygodnego pociągu. Tym bardziej, że dowozi on do wielu miejscowości, do których wykupić można bilet wycieczkowy powrotny. Z 50-proc. zniżką, która umożliwia odbycie podróży za pół darmo. Bilet taki upoważnia do jazdy już od godz. 12 dnia poprzedzającego, dni wolne od pracy i do godz. 9 dnia roboczego po tych dniach (np. od piątku godz. 12 do poniedziałku godz. 9).

Bilet turystyczny mieszkańcy Trójmiasta mogą wykupić na następujących stacjach: Gdańsk Gł., Gdańsk Oliwa, Gdańsk Osowa, Gdańsk Wrzeszcz, Sopot, Gdynia Gł., Gdynia Chylonia, Gdynia Or-

łowo, Wielki Kack. Natomiast miejscowości, do których „Costerina” zawiezie i odwiedzie nas za połowę ceny to: Babi Dół, Gołubie Kaszubskie, Kartusy (z przesiadką w Somoninie), Kościerzyna, Krzeszna, Wieżyca i Żukowo Wschodnie.

„Costerina” będzie woziła turystów do 15 września. Ta dziarsko pędząca lokomotywa, zawiadająca pogwizdującą i buchającą kłębami pary i dymu, sprawia jednak kolejarzom sporo kłopotów eksploatacyjnych i prawdopodobnie w przyszłym roku będzie wycofana. Zastąpi ją wspomniany wcześniej wagon motorowy - oszczędniejszy, mniej kłopotliwy choć też zabytkowy. Jest to być może jedna z ostatnich okazji, aby przejechać się pociągiem z „prawdziwą” lokomotywą. Polecam taką podróż przede wszystkim dzieciom - znającym lokomotywę tylko ze zdjęć i starych filmów. To będzie dla nich nie lada frajda: lokomotywę zobaczyć, usłyszeć, dotknąć, a także poczuć.

W najbliższym czasie proponuję piechurów wycieczkę z dojazdem parową lub motorową „Costerina”.

Tekst i zdjęcie: Stanisław Strojny

W holenderskim nastroju



Zabytkowy dwór z 1802 roku.

Tym razem proponuję odbyć spacer dość nietypowy. Udajmy się tam, gdzie turyści zaglądają sporadycznie. Celem naszej wędrowki będzie równie zapomniany, co zaniebany dwór podmiejski.

Spod Ratusza Głównomiejskiego przy Długim Targu kierujemy się na południe. Wchodzimy w krótką ulicę Ławniczą, i nie skręcając w Ogarną przemierzamy całą ulicę Słodowników. Teraz musimy przejść przez tunel (pod Podwalem Przedmiejskim) i już jesteśmy się na prastarym trakcie noszącym osobliwe miano: Żabi Kruk (niegdyś Poggenfuhr).

Budowlą, która dominuje nad tą częścią Starego Przedmieścia, jest potężna fara pod wezwaniem św. Apostołów Piotra i Pawła. Kościół powstał dzięki hojności miejscowych rzemieślników trudniących się budowlą, naprawą i wyposażeniem statków na terenie pobliskiej Lastadii (Łasztowni).

Kontynuując nasz spacer, mijamy skrzyżowanie z ul. Toruńską, przechodzimy nie opodal ruiny średniowiecznej Baszty Pod Zrębem, po czym skręcając w ulicę o tej samej co baszta nazwie zmierzamy ku Bramie Nizinnej. Nie przechodzimy wszakże przez nią, lecz kieruje-

my kroki na wschód. Torowisko kolejowe przypomina, iż to tu właśnie znajdował się od 2 poł. minionego stulecia pierwszy gdański dworec.

Ulica Grodza Kamienna doprowadzi nas do jednego z najosobliwszych „wodnych” zabytków Gdańska, czyli do Kamiennej Słuzi. To dzieło holenderskich budowniczych z I poł. XVII w., doskonałe także w następnych stuleciach, aktualnie poddawane jest gruntownemu remontowi. Może warto zapamiętać właśnie obecny stan jazu, który doprowadzał Motławę do miasta i regulował w niej poziom wody, by móc potem docenić ogrom wykonanych prac restauracyjnych.

Patrząc uważnie dostrzeżemy na kopule jednego z czterech kamiennych słupków datę 21747. Ponad przepustem wody tuż przy ruinie starego młyna wodnego zachował się natomiast kamienny detal z pamiętną datą 1772.

Spod Kamiennej Słuzi, idąc ciągle wzdłuż tworzącego rodzaj gwiazdziej fosi opływu Motławy, minimy Bastion Wilk. Warto zapamiętać, iż zespół bastionów ziemnych usypano tu w latach 20 i 30 XVII w. Ciąg barokowych fortyfikacji typu holenderskiego przypomi-

na, iż Gdańsk to dawna twierdza. Przy Bastionie Wysok jest mostek, po którego przejściu trafimy na ulicę Wspólną. Ta z kolei doprowadzi nas na Olszyską. Pod numerem 37 znajdziemy cel naszej wędrowki. To zabytkowy, utrzymany w stylu klasycystycznym, podmiejski dwór wraz z zabudowaniami gospodarczymi z początku XIX w. O ciekawej jego historii opowiem przy innej okazji. Wpisany w iście holenderski pejzaż, skromnymi relikami przepychu przypomina o zamożności gospodarzy. W zabytkowej sieni, gdzie gnieźdzą się jaskółki, zachowały się ślady starego malowidła o marynistycznej tematyce. Jeszcze po wojnie sufit jednego z salonów pomalowany był na czarno z zaznaczonymi konstelacjami gwiazdowymi, a drewnianą werandą zdobiły witraże.

Osobliwe to i pełne kontrastów miejsce. Taka sobie właśnie gdańska Holandia. Niedaleko stąd, jeszcze przed rokiem 1945 stał wielki żuławski wiatrak. Szkoda, że nie widać tu ręki gospodarza. Wystarczy tak niewiele, by cały ten, jakże blisko śródmieścia położony obszar, stał się nie lada atrakcją.

Tekst i zdjęcie: Jerzy Samp

Wędruj razem z nami

* W sobotę, na pieszą wędrowkę pt. „Przyroda i zabytki Kociewia”, zaprasza Klub Krajoznawczy „Trsow”, działający przy Muzeum Wisły w Tczewie, Oddział Centralnego Muzeum Morskiego. Trasa wiedzie od Twardej Góry przez jeziora Rumacz i Radochierz z powrotem do Twardej Góry. Zbiórka uczestników (z wy-

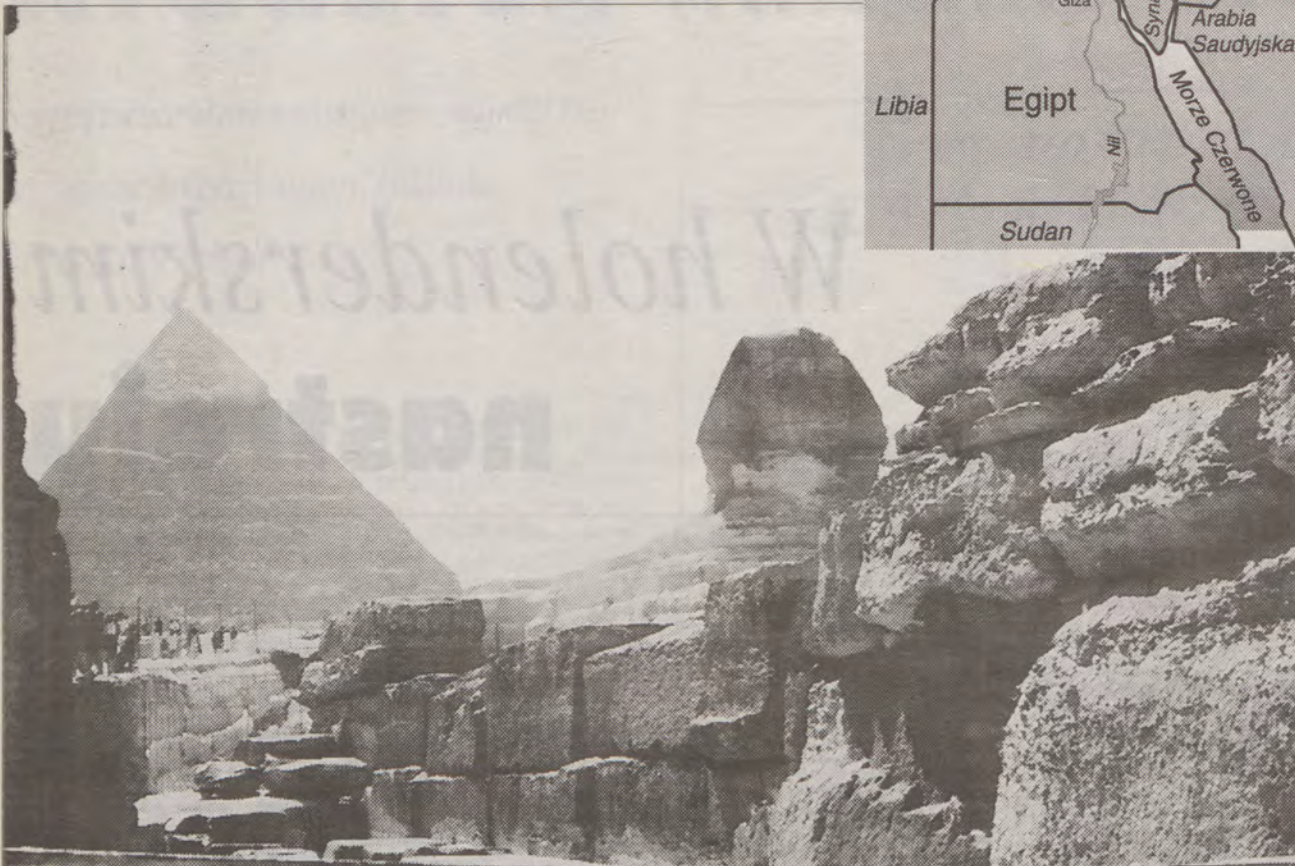
kupionymi biletami) na dworcu PKP w Tczewie. Wyjazd pociągiem o godz. 7.23. Uczestnicy wycieczki ubezpieczają się we własnym zakresie.

* W niedzielę, na wycieczkę do wejherowskiego Muzeum Pismniennictwa i do Kalwarii Wejherowskiej namawia Polskie To-

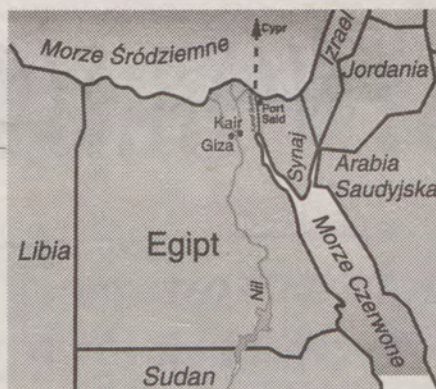
warzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, Oddział Morski w Gdyni. Zbiórka na Dworcu Głównym PKP w Gdyni o godz. 9.20. Odjazd pociągu o godz. 9.35. Bilet wycieczkowy do Bożego Pola - 4 zł.

(R.K.)

Podróże



Giza. Nad ruinami świątyni Sfinksa góruje piramida Chefrena.



Z Cypru na południe

Jeśli dziś wtorek to jesteśmy w Egipcie

Cypryjski port Limassol dzieli od Port Saidu odległość około 240 mil morskich. Znacznie bliżej jest do Izraelskiej Haify. Nic prostszego jak wybrać się na chwilę pod piramidy Gazy lub do Jerozolimy, przerywając nieco monotonne smażenie się w cypryjskim słońcu.

Przestronne klimatyzowane kabiny, baseny z morską wodą, niezła kuchnia, restauracje, kawiarnie, dyskoteki, kino - wszystko to wraz z gwarantowaną o tej porze roku piękną pogodą zapewni pasażerom „Princesy Victorii” prawdziwy wypoczynek. Nie wszyscy z nich chyba zdają sobie sprawę, co ich czeka u celu. „Zaliczanie” atrakcji Egiptu będzie się bowiem odbywać w nieco zwariowanym stylu, przedstawionym w popularnej niedgdy komedii filmowej „Jeśli dziś jest wtorek, to jesteśmy w Belgii”.

Zbliżamy się do Port Saidu.

Jest wtorkowy poranek. Wszystko się zgadza!

Przywołuję zapisane w pamięci obrazy sprzed kilkunastu lat. Pierwsze zaskoczenie: pusta reda. Wtedy kotwiczyły na niej dziesiątki statków che-

kających na sformowanie konwoju przez Kanał Sueski. Konwoje mogły się mijać tylko w jednym miejscu - na Jeziorze Gorzkim. Od tego czasu kanał poszerzono, statki podążają w obie strony pojedynczo, nie ma tłoku na redzie i w porcie. Druga zmiana: znikły rudery i ruiny domów zburzonych w czasie starć z Izraelem, nie ma śladu po sterczących z wody wrakach statków, po pustym cokole pomnika Ferdynanda Lessepsa. Wielki pomnik twórcy kanału przez dziesięciolecie witał statki wpływające do Port Saidu od strony Morza Śródziemnego. W „antyimperialistycznym” amoku wysadzili go w powietrze żołnierze Nassera w 1956 roku. Port Said powstał w związku z budową kanału i z niego żyje - z opłat wnoszonych przez armatorów statków i ze strefy wolnocłowej.

Cumujemy przy charakterystycznym budynku w orientálním stylu. Tu była niegdyś siedziba zarządu kanału zanim przeniosła się do nowoczesnego biurowca w Ismailii.

W kawkadzie trzydziestu klimatyzowanych autokarów

Jedziemy do Kairu

pod ostentacyjną eskortą policji! Uzbrojony po zęby patrol na czele, taki sam w ariergardzie, błyskające „koguty” na dachach, wyjące syreny. Co kilkanaście kilometrów - rogatki. Znow karabiny maszynowe, białe mundury, kontrole. Wszystko z myślą o bezpieczeństwie turystów, z myślą o islamskich terrorystach próbujących odstraszyć obcokrajowców od odwiedzania Egiptu. Potem przywyknijemy do widoku uzbrojonych patroli na skrzyżowaniach ulic stolicy, przed każdym turystycznym obiektem, niemal wszędzie.

Jedziemy na południe, wzdłuż Kanału Sueskiego. Nad piaszczystymi pagórkami, koronami palm daktylowych, beładną zabudową, widać od czasu do czasu... nadbudówki statków. Po prawej mijamy słone rozlewiska, osady, wsie, miasteczka, krajobraz pustynny i coś w rodzaju oaz. Na tych terenach rząd popiera osadnictwo młodych rodzin, pomaga im w zagospodarowaniu mokradeł.

W okolicach Ismailii skręcamy na zachód.

Kair

wita przybylsza sympatycznie. W peryferyjnej dzielnicy, zwanej przez starożytnych Greków Heliopolis, w egzotycznej zieleni toną wille i stylowe pałacyki miejscowych bogaczy i europejskich rezydentów. Zaraz potem wpada się w piekło molocha zamieszkanego ponoć przez 17 milio-



Współczesny Kair, to moloch zamieszany przez 17 milionów ludzi.

Wycieczki z Cypru

Są znakomitym uzupełnieniem urlopu na tej wyspie. Organizuje się wypadki do Izraela (konieczna wiza załatwiona w Polsce), Egiptu, rejsy do wysp Morza Egejskiego. Oferowane są różne warianty - zwłaszcza pobytów w Egipcie, m.in. ze zwiedzaniem Luksoru, Karnaku lub pięciodniowym rejsem po Nilu. Na przykład dwutygodniowa wycieczka na trasie Cypr - Kair - rejs po Nilu - Cypr kosztuje w biurze Scan Holiday w zależności od pory roku i klasy hotelu od ok. 1600 zł.

Kilka rad praktycznych

Konieczna jest ochrona przed słońcem: nakrycie głowy, ciemne okulary, krem ochronny. Arabowie złym okiem patrzą na szorty, bluzki i koszule bez rękawów. Wystrzegać się odwodnienia organizmu.

Za prawo fotografowania i filmowania trzeba płacić. Np. wniesienie kamery do Muzeum Egipskiego kosztuje 19 funtów egipskich (1 EGP = 1,26 zł).

W sklepach i lokalach odwiedzanych przez turystów przyjmuje się dolary, marki, funty cypryjskie. Kupowanie wymaga targowania się.

nów ludzi! Tylko policyjna eskorta pozwala przebiegać się przez zatłoczone ulice w miarę płynnie. Hałas, upał i spaliny, chaos na jezdniach!

Wiele zmieniło się w Kairze od czasów, gdy przybył tu Auguste Mariette - jeden z dyrektorów paryskiego Luwru z zamiarem nabycia koptyjskich rękopisów. Zobaczył skarby starej kultury egipskiej i... został do końca życia. Grobowiec Mariette'a Paszy stoi teraz przed frontonem Muzeum Egipskiego - dzieła jego życia, otwartego w 1863 roku.

W czerwonym, klasycystycznym budynku muzeum na dwóch piętrach zebrano

bajeczne skarby

- ponad 120 tysięcy zabytków i dzieł sztuki starożytnego Egiptu. Ogląda się je w tłumie, w gwarze, w którym trudno o chwilę sprzyjającą refleksji. Niestety, mamy na „zaliczenie” muzeum zaledwie kilkadziesiąt minut. Trzeba więc pędzić na piętro, gdzie zgromadzone najsłynniejsze eksponaty - skarby z grobu Tutenchamona. Wśród nich - szczerokołata maska faraona i sarkofag z 225 kilogramów tego kruszcu!

Mozolnie przebijamy się przez całe miasto - do Gazy i do piramid. Nie są jedyne i nie są najstarsze. Są za to największe i najsłynniejsze: Cheopsa, Chefrena i Mykerinosa. Pół godziny na spotkanie z cudami ludzkiego geniuszu i nadludzkiej pracy sprzed 4500 lat. Wrażenie jedy-

ne w swoim rodzaju, choć przeszkadza upał, porywisty wiatr od pustyni, nachalność Arabów zachwalających przejażdżki na wielbłądach i tłumy turystów. Wszyscy fotografują, wszyscy filmują. W domu zobaczą to, co „widzieli”. To też mieści się w konwencji „wtorkowego” zwiedzania.

Jeszcze krótka wizyta u Sfinksa, za to dłuższy pobyt



Złota maska Tutenchamona.

(przewodniczka musi mieć w tym swój interes) - w sklepie z pamiątkami, w którym sprzedaje się papirusy, posążki z alabastru i inne suweniry. I w drogę powrotną! Pod tą samą eskortą. Wtorek się kończy. „Princesa Victoria” o dwudziestej wypływa z Port Saidu...

Tekst i zdjęcia
Andrzej Gołębiowski

SEAT Cordoba

Auto Salon 1.8 GLX



Sylwetka Seata Cordoby nie jest banalna. Jeszcze przez wiele lat dynamiczne linie nadwozia nie zdąży się opatrzyć. Tablica przyrządów jest funkcjonalna, ale jej kształty oraz czerni tworzywa - to już dzień wczorajszy. Zdjęcia: Archiwum SEAT

Z wyrobami największego hiszpańskiego producenta samochodów zetknęliśmy się po raz pierwszy pod koniec lat sześćdziesiątych, kiedy to Bank PeKaO SA sprowadził i sprzedawał za dolary sporą partię Seatów 850 produkowanych na fiatowskiej licencji. Takie to były czasy, że samochody kupowało się w banku!

Od tego czasu SEAT sprywatyzował się, zakończył współpracę z FIAT-em, stał się częścią koncernu Volkswagen i całkowicie odnowił gamę swych modeli, które konstrukcyjnie są dziś blisko spokrewnione z autami marki VW.

Czy slogan reklamowy:

„Niemiecka precyzja, hiszpański temperament”

odpowiada rzeczywistości - mieliśmy okazję sprawdzić na przykładzie Cordoby 1.8 GLX, którą udostępnił nam gdyński dealer SEAT-a, firma Libra.

Cordoba, która jest rozwinięciem modelu Ibiza, pierwszego zbudowanego we współpracy z VW, miała swą premierę u schyłku 1993 roku. Dwupółbryłowe nadwozie zaprojektowane przez sławnego Giorgio Giugiaro zyskało wówczas pochlebne oceny, które i dziś się nie zdezaktualizowały. Dodac do tego należy dobrą jakość wykonania oraz stosunkowo

bogate wyposażenie,

za które nabywca Seata, w przeciwieństwie do amatora „oryginalnego” Volkswagena nie musi dopłacać ekstra.

Sportowy „look” samochodu podkreśla efektowne skrzydło na krótkiej pokrywie bagażnika. Przypominają też o nim niskoprofilowe opony Firestone o wymiarach 185/60/R 14 i rozbudowany spoiler przedni, w który wkomponowano reflektory przeciwmieglne.

Wnętrze

auta niemal każdym szczegółem przypomina o bliskich związkach z Volkswagensem. Ładny i czytelny zestaw wskaźników jest identyczny jak w niektórych odmianach VW Polo (notabene wytwarzanego w tej samej fabryce w Martorell). W niemieckim stylu

utrzymane są też twarde, ale zarazem wygodne przednie fotele. Miejsca za kierownicą jest dość nawet dla bardzo wysokich osób, ergonomia „miejsc pracy” jest niemal wzorowa. O dziwo, mimo niezbyt wielkiego rozstawu osi (244 cm, o 1 cm mniej niż np. w Skodzie Felicii) bardzo przestronna jest też tylna część przedziału pasażerskiego. Cordoba jest liderem w swojej klasie pod względem pojemności bagażnika: 455, a po złożeniu tylnej kanapy nawet 760 dm sześć. - to wynik wręcz znakomity. Użyteczność bagażnika ogranicza jednak nie najlepszy dostęp do wnętrza i wysoko położona dolna krawędź jego wykoju.

O ile estetyka nadwozia zasługuje na same superlatywy, to kształt tablicy przyrządów i smutna czerń tworzywa sztucznego, z której ją wykonano (także tradycja VW!) nie budzą zachwytu.

Pod maską

odnajdujemy znany od lat z różnych odmian Golfa i Passata aluminiowy sil-

nik o pojemności 90 KM przy 5500 obr./min. Ta jednostka napędowa, z ośmiozaworową głowicą i jednopunktowym wtryskiem paliwa najlepsze lata ma już za sobą, jest dość głośnie i niezbyt oszczędna, ale odznacza się elastycznością i niezawodnością. Pod maską jest luźno, wszystkie elementy wymagające kontroli bądź uzupełniania płynów eksploatacyjnych są dobrze oznakowane i łatwo dostępne.

Zawieszenie kół - to także VW: z przodu pojedyncze wahacze poprzeczne i zwrotnice kolumnowe MacPherson uzupełnione stabilizatorem, z tyłu - klasyczna oś skrętna. W wersji GLX zawieszenie jest sztywne i sprężyste, stosownie do wizerunku auta, które

Zalety i wady

- + przestronne i wygodne wnętrze, duży bagażnik
- + elastyczny i dość dynamiczny silnik
- + znakomite, bezpieczne nawet w ekstremalnych warunkach podwozie
- + ergonomicznie rozplanowane elementy sterowania
- spore zużycie paliwa i hałaśliwość jednostki napędowej
- mało atrakcyjna stylizacja tablicy przyrządów i tapicerki

Seat Cordoba 1.8 GLX w testowanej wersji kosztuje obecnie ok. 28 tys. DM, czyli 50,5 tys. zł.

Jesienią w zakładzie VW w Antoninku pod Poznaniem rozpocznie się montaż Cordoby w wersji 1.4 CLX. Cena samochodu nie jest jeszcze znana, ale można przewidywać, że ukształtuje się ona wyraźnie poniżej obecnej ceny tego modelu, wynoszącej ok. 35,1 tys. zł.



Za kierownicą

Mirosław Zdanowicz, przedsiębiorca, prezes gdańskiego Auto Moto Klubu

Moje motoryzacyjne początki były dość dramatyczne. Jako kilkunastoletni chłopak kręciłem się wokół warsztatu motocyklowego, który we Wrzeszczu prowadził pan Nikitin. Wówczas, a była to połowa lat pięćdziesiątych, był on aktywnym zawodnikiem. Startował w motocrossie.

Pewnego dnia miałem umyć jego Junaka. Zamiast tego wsiałem na motocykl i pognałem na góry w pobliżu cmentarza na Srebrzysku. W drodze powrotnej wyładowałem głową naprzód w kołczastych krzakach, a motocykl dosłownie się rozpadł po uderzeniu w wysoki krzewnik.

Nikitin przestraszył się nie na żarty widokiem mojej opuchniętej i podrapanej twarzy. Nie zmyślał mi, nie poszedł na skargę do mamy. Powiedział: dam ci wszystkie części. Musisz sam doprowadzić motocykl do porządku.

To dzięki niemu nie tylko wkroczyłem w świat sportu motorowego, ale też w gruncie rzeczy wyszedłem na ludzi. Przez wiele lat zajmując się młodzieżą uprawiającą motocross spłacałem wielki dług wdzięczności wobec tego wspaniałego człowieka.

A moje auta? Pierwszym był Chevrolet de Luxe rocznik 1951. Kupiłem go w roku 1957 za 25 tysięcy złotych. W remoncie włożyłem dalsze siedemdziesiąt tysięcy. Ale wkrótce z ulgą sprzedałem ten samochód za... 22 tysiące, bo zużywał na setkę 18 litrów benzyny, z pięć litrów oleju i drugie tyle wody, którą stałe trzeba było lać do układu chłodzenia. Z silnikiem nigdy nie udało mi się dojść do ładu.

Za to sentyment do samochodów amerykańskich pozostał. Dziś prowadzę stację obsługi aut „made in USA” i sam mam Pontiaka Grand Prix. Uważam, że auta zza oceanu są technicznie najbardziej zaawansowane i - co dziś jest ważne - najmniej zanieczyszczają środowisko naturalne.

Jeżdżę po Polsce bardzo dużo i przeraża mnie brak wyobraźni u ludzi, którzy siadają za kierownicą. Co na przykład myśli kierowca wyładowanego po brzegi małego Fiata, który zaczyna wyprzedzać pod górę ciągnik siodłowy z naczepą?

(mjp)

lą - czyć ma w sobie cechy rodzinnej limuzyny i samochodu sportowego.

Za kierownicą

Cordoby dobrze się zatem czuć mogą zwłaszcza amatorzy szybkiej, dynamicznej jazdy, którzy docenią zarówno niezłe przyspieszenia auta (0 - 100 km/godz. w 11,7 s.) jak precyzję działania układu kierowniczego z właściwie dobranymi parametrami wspomagania, bardzo skuteczne hamulce oraz bezpieczne także przy większych prędkościach podwozie. Na szybkich łukach auto trzyma się toru jazdy, pozostając cały czas pod kontrolą kierowcy.

Dobrze dobrane są przełożenia w skrzyni biegów, a lekko i dokładnie działający mechanizm zmiany przełożeń pozwala na wykorzystanie wszystkich możliwości silnika. Niestety przy przyspieszaniu, a także podczas jazdy ze stałą prędkością 140 km/godz. na V biegu (co odpowiada 4 tysiącom obr./min) jednostka napędowa jest wyraźnie hałaśliwa, a nieprzyjemny, niski ton okazuje się dokuczliwy dla uszu. Za to hałasy aerodynamiczne nawet przy 173 km/godz. - tyle wynosi prędkość maksymalna auta - są znikome.

Tak więc w przypadku Cordoby 1.8 GLX połączenie „niemieckiej precyzji i hiszpańskiego temperamentu” dało niezłe efekty. Ole!

Marek Ponikowski

Stephanie Beacham

Chce się usatkwować

Stephanie Beacham grała w „Dynastii”, ale pamiętamy ją przede wszystkim z roli żony potentata naftowego Sable w serialu o rodzinie Colbych. Miała wiele cech przewrotnej, a zarazem czarującej Alexis, w przeciwieństwie do niej jednak, nawet w najdrastyczniejszych momentach, nie rezygnowała z pozycji „damy”. Tym, co łączyło obie aktorki Joan Collins i Stephanie Beacham w życiu prywatnym, było to, że obie były Angielkami i że ich uprzejmy, koleżeński i pełen humoru, ale zarazem wstrzemięźliwy sposób bycia zdecydowanie wyróżniał się na tle manier nieokiełzanych, hałaśliwych Amerykanek.

Z kolei warunki, jakie stwarzał Hollywood swoim gwiazdom, daleko odbiegały nie tylko od tych, które istnieją w Wielkiej Brytanii, ale w ogóle w jakimkolwiek kraju zachodnioeuropejskim. Żelazną zasadą, której musiały przestrzegać filmowe piękności z „Dynastii” i „Colbych” poza wytwórnią było: żadnych dzinsów czy powyciąganych swetrów, żadnego braku makijażu czy zaniebanej fryzury. Poza tym studio dbało o wszystko. Wypożyczało najelegantsze i najbardziej pasujące do typu urody stroje, dbało o właściwą linię włosów, idealny makijaż, manicure itd. Wysłało też samochód na każde żądanie gwiazdy.

W ciągu 10 lat pobytu w USA Stephanie Beacham wystąpiła poza tym w serialach: „Sister Kate” (Siostra Kasia), „Sea Quest”, „Beverly Hills 90210” oraz w „Legend”. Była to satysfakcja zawodowa, lecz także finansowa. Stephanie kupiła wytwórnię apartament w Hollywood i rezydencję nad brzegiem oceanu na Malibu - „wyspie milionerów”. A jednak niedawno wróciła do „dobrej starej Anglii” i bynajmniej nie spieszyła się z powrotem do Ameryki. Głównym powodem były poważne niedomagania rodziców: 88-letniego ojca i 82-letniej matki. „Kocham ich ogromnie - powiedziała Stephanie dziennikarzom. - Kiedyś oni byli skałą, o którą się opierałam, teraz ja i moje dzieci musimy być dla nich opoką”. Ponieważ dom w Londynie sprzedała jeszcze przed wyjazdem do Stanów, zatrzymała się w Bristolu, w obszernej, zabytkowej willi córki Phoebe, studentki Bristol Old Vic Theatre School (wyższej szkoły teatralnej). Jest on pełen przyjaciół Phoebe, mniej zamożnych studentów, którzy uczą się do egzaminów i odpoczywają pod jej gościnnym dachem. Stephanie to nie przeszkadza, twierdzi nawet, iż dzięki takiemu towarzystwu czuje się o wiele młodsza. Tak się dla niej także dobrze złożyło, że zupełnie niespodziewanie otrzymała w Anglii interesującą propozycję zagrania w serialu „Nie ma bananów” rolę elegantki z przełomu lat 30. i 40., która zaskoczona sytuacją niedoborów i wyrzeźbienia, jakie przyniosła ze sobą II wojna światowa, zupełnie nie potrafi się do niej przystosować. Zapowiadające film czasopisma pełne są już zdjęć Stephanie Beacham w kostiumkach i kapeluszach retro, na tle srebrzystego rolls-royce'a i z małym pieskiem w ramionach.

Atmosfera ojczystego kraju tak podzielała na Stephanie, że postanowiła nawet sprzedać posiadłość w Malibu - pozostawiając tylko apartament w Hollywood - i kupić dom, wprawdzie w miejscu, w którym panuje cieplejszy klimat niż w Anglii, ale niezbyt od niej oddalonym, bo na południu Francji (gdzie osiedliła się również Joan Collins). Mieszkając już w ogromnych budynkach z ogromnymi basenami, Stephanie ma zamiar, tym razem stworzyć sobie przytulne, urządzone całkowicie według jej gustu, gniazdko „dom z marzeń”, w którym wreszcie będzie się czuła naprawdę u siebie. Chce również o wiele więcej niż dotąd czasu poświęcić rodzicom oraz wychowaniu córek, zwłaszcza młodszej Chloe. Dlatego też zamierza kupić mieszkanie również w Londynie. Ponadto, po rozwodzie przed 20 laty, z Johnem McEnrym, Stephanie ma już dość samotności i romansów z młodymi efebami. Obecnie 49-letnia hollywoodzka gwiazda pragnie ustabilizować swoje życie u boku kogoś statecznego, kto zarazem spełni jej uczuciowe, duchowe i estetyczne oczekiwania.

Grażyna Dziedzinska

Namiętność

Gioconda jest najczęściej reprodukowaną osobą w świecie. Kolekcjonerzy gromadzą wszystko, co przypomina wizerunek pięknej i zagadkowej nieznanym. Poszliby do piekła za jeden jej uśmiech

Konserwatorium Afisza w Lo-cronan w departamencie Finisterre zgromadziło około 180 wizerunków Giocondy, będących artystycznymi i humorystycznymi wersjami arcydzieła Leonarda da Vinci. W największych miastach departamentu kupcy nakleili na wystawach sklepów afisz tej ekspozycji nazwanej dowcipnie „La Joconde dans tous ses etats” (dosłownie „wychodząca z siebie”). Można ją było zobaczyć w najróżniejszych postaciach i sytuacjach - jako Bretonkę, zachwalającą naleśniki, w peruce, z kieliszkiem wina w ręce, w stroju Mao a także... palącą „jointa” z haszyszem.

Klub Przyjaciół

We Francji - pisze o tym „Le Point” - kolekcjonerzy wizerunków tajemniczej damy utworzyli nawet Klub Przyjaciół Myny Lisy, którego jednym z najwybitniejszych członków jest sam Pierre Rosenberg, przewodniczący muzeum Louvre. Nie kolekcjonuje on wizerunków Giocondy, mimo że ją bardzo podziwia, ale za to jest troskliwym konserwatorem niezwyklego muzeum, gdzie znajduje się wszystko co ma jakikolwiek związek z obrazem Leonarda da Vinci - a więc afisze, reklamy, ubrania i pocztówki (w tej ostatniej dziedzinie Mona Lisa jest bestsellerem).

Ponieważ trudno było zaangażować konserwatora dla sa-

mej tylko Myny Lisy, Pierre Rosenberg poprosił przewodniczącego Klubu Przyjaciół Myny Lisy, Jeana Margat, aby zajął się skatalogowaniem tych imponujących zbiorów. Nic nie mogło bardziej zachwycić tego hydrogeologa na emeryturze i słynnego giocondologa. Warto wspomnieć, że Jean Margat stał się jednym z największych kolekcjonerów „produktów pochodnych” Myny Lisy wcale nie z powodu jakiejś szalonej pasji dla tego dzieła czy też jakiejś niezwyklej fascynacji zagadką, jaką stanowi tożsamość modelki Leonarda.

Pod wpływem dadaistów, a zwłaszcza Marcela Duchampa, który „przywłaszczył sobie” Giocondę domalowując jej wąsy i pokrywając napisami, Jean Margat wykonał w la-



Super okazja

Wielka Wyprzedaż Mebli

oferujemy

meblościanki

sypialnie

łóża

zestawy wypoczynkowe



50%

Atrakcyjne ceny - bonifikata do

Zapraszamy

Magazyn fabryczny przy ul. Grunwaldzkiej 211 w Gdańsku-Wrzeszczu • pn.-pt. od 10.00 do 18.00, sob. 10.00-15.00

do tajemniczej damy

tach 50. „tysiąc i jedno ćwiczenie w dziedzinie sztuki przyrządzania arcydzieł”, zwłaszcza w dziedzinie obrazu mitycznego. Obliczając m.in. z dokładnością do milimetra powierzchnię obrazu, twarz i ręce, poddał go także pewnym manipulacjom graficznym - stosując deformację przez fotomontaż, wycinanie i inne sztuczki fotograficzne. Równocześnie inwentaryzował afisze reklamowe, rysunki humorystyczne, gry i książki, z piękną nieznaną jako modelką.

Od dzieł sztuki do przerwy

„Gioconda służy do wszystkiego - stwierdza Jean Margat. - Do rozrywki, do pobudzenia sprzedaży, do dekoracji; jest to

uniwersalny ideogram, uznany we wszystkich krajach”. Wprawdzie Valery mówił: „Gioconda nie myśli o niczym”, ale specjaliści od reklamy myślą za nią. Ku radości zarówno agentów reklamowych, jak i giocondofilów, którzy poszliby do piekła za jedno opakowanie greckiej czekolady lub parę skarpetek amerykańskich z jej wizerunkiem! Można ją bowiem zobaczyć we wszystkich możliwych sytuacjach: w hologramie, na zegarze (wskazówka oznaczająca godzinę jest jednym z jej oczu, które dwa razy dziennie powraca na jej twarz), w majolikowej solniczce, w postaci lalki, na porcelanowym talerzu z Limoges, na kołki do kapeluszy itp. Nie mówiąc już o niezliczonych reklamach, pocho-

dzących z całego świata: jej twarz widnieje na pudełku z cukierkami argentyńskimi, na opakowaniu włoskich przerwy „Gioconda” („ważnych na pięć lat”), na kartonach z hiszpańskimi pomarańczami, na butelkach szampa florenckiego, na prześcieradłach japońskich, a nawet na przyrządach do wykrywania wirusowego zapalenia wątroby, dostarczanych przez Instytut Pasteura! Stała się niezbędną postacią w reklamie. Zarówno w angielskiej reklamie pasty do butów (gdzie jej wizerunek przegląda się w wyczyszczonym bucie), jak i w irańskiej reklamie proszku do prania czy reklamie fryzjera z Bali, która ukazuje ją z papilotami na głowie! Występuje we wszystkich możliwych rolach: w džinsach

przy zlewie, w fartuszu przy piecu kuchennym, w trakcie gry w golfa, w tenisa czy w piłkę nożną. Belgijska sekcja Amnesty International pokazała ją nawet jako ofiarę z podbitym okiem...

Magiczna moc kolekcjonerstwa

Klub Przyjaciół Mony Lisy został utworzony w 1987 roku przez trzech miłośników pocztówek. Jednym z założycieli był obecny sekretarz generalny klubu, Robert Crespin, wysoki urzędnik poczty. Klub wydaje obecnie mały biuletyn.

Większość członków klubu zaczęła swą działalność od zbierania kart pocztowych, ale wielu z nich powiększyło obecnie swój teren działania,

jak np. Yvette de La Frémondie, rzeźbiarka i właścicielka największej kolekcji współczesnych pocztówek, liczącej 210 tysięcy kart od 1975 roku po dzień dzisiejszy. Ta zapalona zbieraczka, która wydaje też własne prace, wystawiane m.in. w Muzeum Poczty - także pasjonuje się Moną Lisą. Jej najpiękniejszym okazem jest unikatowy zestaw z fajansu - imbryk, filiżanka, skarbonka i pudełko na herbatniki, wszystko w kształcie Giocondy - made in USA. Jedną z głównych atrakcji kolekcji jest także wielka zasłona z perł z wizerunkiem Mony Lisy, którą pani Yvette odkryła w Hanoi.

Nie trzeba dodawać, że ta obsesja na tle Giocondy wywołuje niekiedy irytację w otoczeniu kolekcjonerów. „Moja żo-

na krzyczy na mnie - mówi z westchnieniem pan Crespin - ponieważ ta działalność zajmuje czas i wywołuje zamęt w domu”. Pan Crespin nieustannie wzbogaca swą i tak pokaźną kolekcję ponad 1200 kart, będącą przedmiotem ożywionych rozmów z innym kolekcjonerem, Jean Sauteron, emerytowanym inżynierem, który posiada z kolei najpiękniejszy zbiór starych kart na temat Giocondy. Wiele z nich pochodzi z roku 1911, który był smutnym rokiem dla giocondofilów, gdyż wtedy właśnie ukradł obraz włoski malarz pokojowy i przetrzymywał go u siebie trzy lata. Był to zarazem rok błogosławiony, gdyż dał początek sztuce „pocztówek z Giocondą”.

Ewa Morka

CZARTEROWE WAKACJE: GRECJA, TURCJA, TUNEZJA, CYPR, KRĘTA I MAJORKA!

OGLĄDAJ TRANSMISJE OLIMPIJSKIE NA URLOPIE!

Ceny zawierają przelot, pobyt w hotelu, opiekę pilota oraz animację. Spytaj o ew. dodatkowe opłaty lub obowiązkowe wycieczki.

TANIO I DOBRZE!

Jeżeli komfort hotelowy nie jest dla Państwa najważniejszym warunkiem dobranej wycieczki, oferujemy Państwu tanie wycieczki z zakwaterowaniem w mieszkaniach lub hotelach turystycznych.

WAKACJE DLA 4 OSÓB W JEDNYM POKOJU

Jeżeli stanowią grupę 4 osób, które chcą podróżować razem, mogą mieszkać w 1 pokoju lub mieszkaniu a komfort hotelowy nie jest dla was najważniejszy, mamy do zaoferowania specjalną cenę:

SUPER OFERTA!

Dobry hotel lub apartament, zlokalizowany blisko plaży, z basenem i animacją kilka razy w tygodniu. Hotel przystosowany także dla najmłodszych, oferuje do 50% rabatu dla dzieci. Cena ze śniadaniem i obiadokolacją.

WYSOKA JAKOŚĆ HOTELE ****

Jeżeli chcą Państwo spędzić urlop w komfortowych warunkach, mamy do zaoferowania hotel o wysokim standardzie i poziomie usług ze wszelkimi udogodnieniami:

	1 TYG.	2 TYG.	1 TYG.	2 TYG.	1 TYG.	2 TYG.	1 TYG.	2 TYG.
LIPIEC	od 999zł	1299zł	od 3748zł	4748zł	od 1399zł	1899zł	od 1799zł	2299zł
SIERPIEŃ	od 999zł	1299zł	od 3748zł	4748zł	od 1124zł	1499zł	od 1624zł	2248zł
WRZESIEŃ	od 748zł	1048zł	od 3224zł	3924zł	od 1024zł	1399zł	od 1324zł	1824zł
PAŹDZIERNIK	od 748zł	924zł	od 2999zł	3748zł	od 999zł	1199zł	od 1124zł	1548zł
LISTOPAD	od 748zł	924zł	od 2999zł	3748zł	od 999zł	1199zł	od 1124zł	1548zł

SUPER OFERTA: CYPR + REJS EGIPCI - IZRAEL 1tydz. od 1124zł; 2 tyg. od 1399zł

Zarezerwuj teraz wakacje, a uzyskasz rabat do 100 zł oraz gratis samochód na 1 dzień. Zamów bezpłatny kolorowy katalog 24 godziny na dobę pod telefonem: (0-61) 527 591. Spytaj o ofertę LAST MINUTE na 3 dni przed odlotem - ceny od 595zł!

Co tydzień wyloty z Warszawy!

ScanHoliday

Gdańsk, Długi Targ 39/40, tel: (58) 311 779, 314 367

10007210/11/21

BASENY KAPIELOWE

BEZPOŚREDNI PRODUCENT! NATYCHMIASTOWY ODBIÓR!

Katowice
Cieszyn
Bielsko Biała
Wisła
Ustron Nierodzim



ATRAKCYJNA OFERTA CENOWA!



Pompy, Filtry, Akcesoria

POOL-TECH-MEPROZET

Ustron Nierodzim ul. J. Kreta 2

CZYNNE CODZIENNIE

tel. 0-33/54-36-94

fax 0-33/15-29-10

BONDÉX

■ DYRUP ■



Znajdziesz w dobrych sklepach chemicznych!

DYRUP POLSKA

93-231 Łódź, ul. Dąbrowskiego 238

tel. (42) 49-10-17, 49-25-55, fax (42) 49-26-66

Rozkręć się!

NOWOŚĆ! 0,33L
EB Twist-off
Pierwsze polskie piwo
w odkręcanej butelce

Piwo bezalkoholowe B.A.



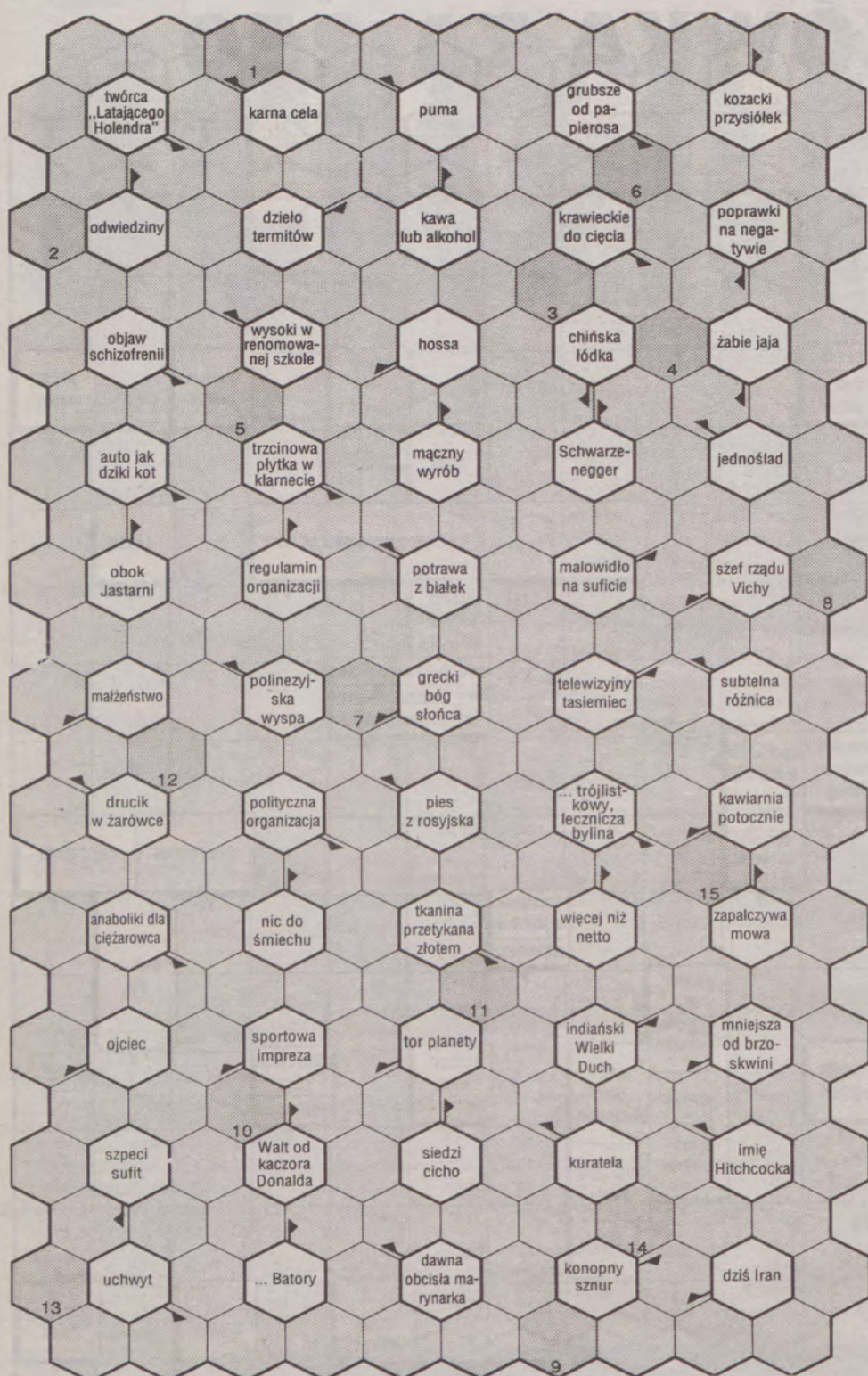
EB

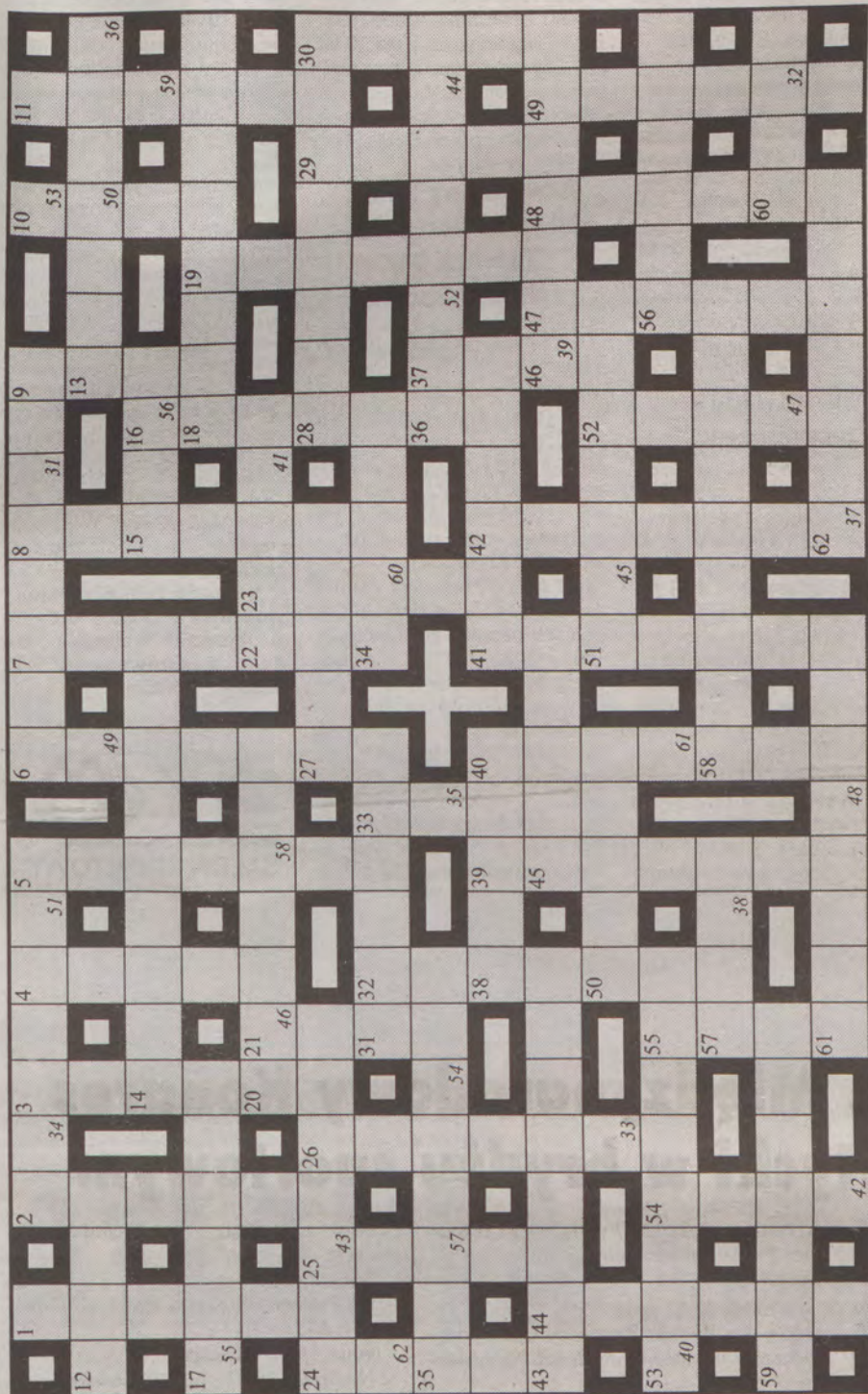
®



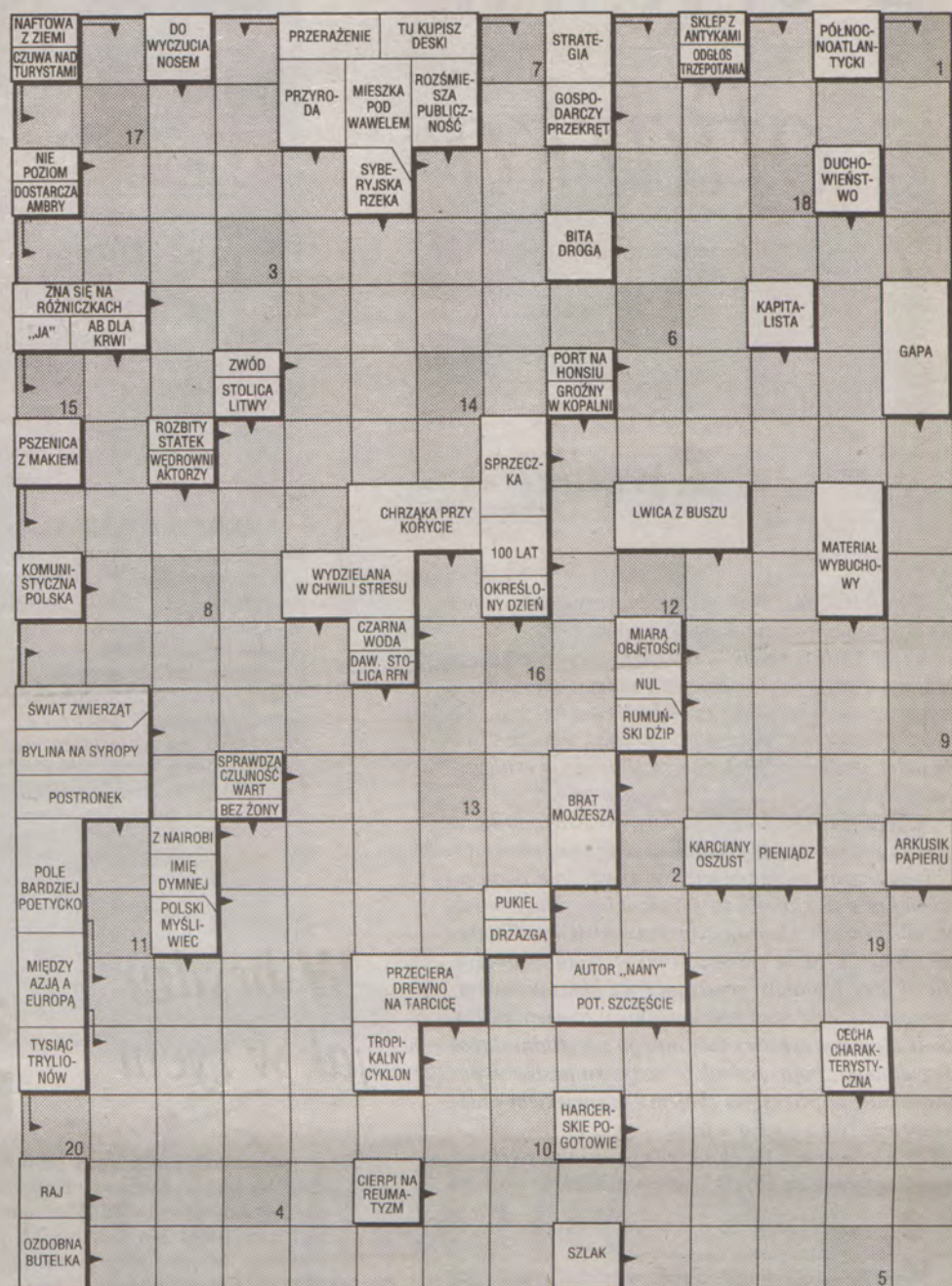
Czytelnicy, którzy uporają się z tą wielką krzyżówką i przysłą do 29 lipca hasło, utworzone z liter na zaznaczonych polach, mają szansę wylosować nagrodę pieniężną w wysokości 250 zł.

WIRÓWKA





KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA



Rozwiązaniem jest hasło, utworzone z liter z pól 1 - 20 (aforyzm)

KRZYŻÓWKA BLIŹNIACZA 2

POZIOMO: 2) nadzorca w kopalni; 6) na psia mordę; 12) szkocka spódniczka; 13) mieszkawiec Barcelony; 14) opinia; 15) wielka ilość; 17) napisał „1984”; 18) obelga; 20) usunięcie ciąży; 22) Jan Stozek; 24) żal; 27) iwalidzka, wojenna, wdowia; 28) zezwolenie na korzystanie z praw; 31) w Tour de Pologne; 34) twórca torfowego specyfiku; 35) słownik synonimów; 36) niepewność, wahanie; 38) Ilon; 41) chiński kierunek filozoficzno-religijny; 43) u fryzjera; 45) brunatna farba; 46) metoda terrorystów; 50) zwinęta bibułka papierosa; 51) szlaban; 53) rodzaj zapiecia; 56) drzewo parkowe; 57) dawna srebrna moneta francuska; 58) wyobcowanie; 59) harakiri; 60) kiernoz; 61) przybudówka, barak; 62) knucie **PIONOWO:** 1) w pierzynie; 2) obszar; 3) ikrzak, mleczak; 4) jezioro króla Popiela; 5) przemieszczenie; 6) mistrz patelni; 7) poręcz; 8) wartość na monecie; 9) mongolski władca; 10) cud; 11) niedojda; 16) wstawi szybę; 19) córka Agamemnona; 21) port nad Morzem Kaspijskim; 23) podstawa człowieka; 24) zeszyt na zapiski; 25) kiesa; 26) przekłada książki; 29) ustrój w dawnej Rosji; 30) opracowanie utworu muzycznego; 32) zapusty; 33) postać z Muminków; 37) miasto syberyjskie; 39) Juliusz, przedwojenny aktor; 40) królewskie dochody; 41) deska; 42) ustna harmonijka; 44) jedna czwarta; 47) sport na macie; 48) opiekunka; 49) obudowa lampy; 52) rzymski historyk; 54) prążkowana tkanina; 55) jednoduszy żaglowiec

Rozwiązaniem obydwóch KRZYŻÓWEK BLIŹNIACZYCH (pola od 31 do 62) jest wspólne hasło - aforyzm Marka Twaina

Rywale, rekordy, medaliści (29)

101 pytań olimpijskich

Dzisiaj rozpoczynają się Igrzyska w Atlancie, a my kończymy quiz związany z tradycją i rezultatami letnich zmagani olimpijskich. Wśród uczestników, którzy nadeślą poprawne odpowiedzi, rozdajemy nagrodę w postaci kasety wideo. Prawidłowe odpowiedzi z quizu z 5 lipca: 1. W USA; 2. Waldemar Baszanowski; 3. Paryż, 1924 i Helsinki, 1952; 4. Rocznie 530 tys. dolarów. Nagrodę wylosowała p. Ilona Dastyszek z Gdyni. Gratulujemy! W sprawie odbioru kasety należy porozumieć się z Biurem Konkursów w gdańskim Domu Prasy, przy Targu Drzewnym 3/7, pok. 201b.

Dwudziesty dziewiąty zestaw pytań:

1. Jak brzmi nazwisko jednego z najświetniejszych wychowanków „Papy” Stamma, zdobywcy dwu złotych medali olimpijskich, który w drodze do drugiego z tych trofeów, po morderczej walce w finale pokonał słynnego kubańskiego bombardiera Enrique Roqueiferosa. Nasz

pięściarz wystąpił też w filmie Marka Piwowskiego „Przepraszam, czy tu biją”?

2. Jaką nazwę nosił koń, na którym Jan Kowalczyk zdobył w Moskwie złoty medal w konkurencji skoków z przeszkodami: Artemor, Pegaz, Rosynant?

3. Na których igrzyskach w finale turnieju piłkarskiego jedna z drużyn (jaka?) na skutek skandalicznego zachowania publiczności i z powodu stronnictwa sędziowania, po 40 minutach gry opuściła boisko?

4. Gdzie odbędą się XXVII igrzyska olimpijskie: w Rio de Janeiro, w Pekinie czy w Sydney?

Odpowiedzi na kartce pocztowej należy nadesłać w terminie do 29 lipca pod adresem „Dziennika Bałtyckiego”, 80-866 Gdańsk, skr. pocztowa nr 419, z dopiskiem „101 pytań”.

Rozwiązanie zadań z 5 lipca

Krzyżówka za 250 zł

- nagrodę otrzymuje:

- Jan Karwecki z Lelkowa woj. elbląskie

Hasło: „Wino robi człowieka przezroczystym”.

Krzyżówka bliźniacza

- nagrody otrzymują:

- Danuta Pufund z Rumi - 50 zł

- Renata Boguszewska z Gdańska - kosmetyki

Hasło: „Kiedy przemawia złoto, elokwencja jest bezsilna”.

Krzyżówka Panoramiczna

- 50 zł otrzymuje:

- Iwa Kryniewska z Gdańska

Hasło: „Wino robi człowieka przezroczystym”.

Krzyżówka wirówka

- 50 zł otrzymuje:

- Feliks Janiszewski z Malborka

Hasło: „Fałsz”.

Krzyżówka Jolka - 50 zł otrzymuje:

- Halina Łopatowska z Miłocin poczta Cedry Wielkie

Hasło: „Fałsz prawdy nie lubi”.

Na Czytelników, którzy do 29 lipca nadeślą prawidłowe rozwiązania naszych zadań czekają następujące nagrody:

za WIRÓWKĘ 50 zł; za KRZYŻÓWKI BLIŹNIACZE - 50 zł + komplet kosmetyków; za KRZYŻÓWKĘ PANORAMICZNĄ - 50 zł. Odpowiedzi należy opatrzyć właściwymi dopiskami.

Nasz adres: Dom Prasy, 80-886 Gdańsk, ul. Targ Drzewny 3/7, Biuro Konkursów.

Pertowa ofiarka

Z wędką

Niewielka, zaledwie piętnastocentymetrowa jest obiektem ataków z ziemi, wody i powietrza.

Wista. Głośny plusk i... z prądem splaya kilka srebrzystych przecinków. Sprawcą całego zamieszania jest oczywiście boleń, który - obyczajem bolenia - zamiast uganiać się za każdą przekąską, wpada w sta-do uklei, głuzy je i spokojnie przebiega jak w ulegal-kach, zadowolony, że tak łatwo mu poszło.

W jeziorze też niewesoło. Kiedy o świcie to tu, to ówdzie pryska w górę fontanna uklejowej drobnicy, doświadczony wędkarz wie, że to właśnie okoń po nocnej drzemce biega za śniadankiem. Może wtedy wziąć spinning z wirującym świecidełkiem i podać mu. A niech sobie zeżre ostatni w życiu smakotyk. Nieco inne fontanny pryskające na boki, promieni-ście, sygnalizują nadchodzący atak z powietrza. Po-jawia się cień rybitwy lub innego wygłodniałego, skrzydlatego zbója. Jednak to wszystko pestka w po-równaniu z największym zbójem - człowiekiem - nie-koniecznie tym z wędką w łapie.

Do niedawna z łusek uklei wyrabiano pertową masę, „essence d' 'Orient", która ozdabiała wieczne



Rys. Wiesław Matusek

pióra, mandoliny, gitary, akordeony, a nawet wytwa-rzano sztuczne perty. Czy taki dajmy na to Iwan gar-monist lub Jean znad Sekwany - pomyślał, że gra na kilku tysiącach uklei (100 g tego cudenka to około 400 uśmierconych rybek)?(!)

Dla wędkarza - też zbója, ukleja to tylko łatwa do pozyskania, popularna przynęta na ryby drapieżne lub zabawka. Jej pyszczek skierowany ku górze oraz „drobna postura” to wystarczające wskazówki w te-macie „czym i na co je łowić”. A więc: Wędka lekka, elastyczna, żyłka cieniutka, haczyk mały, przynęta podawana tuż pod powierzchnią albo na powierzchni wody, mogą to być muchy domowe, inne muszki, smakowite jętki jednodniówki i wreszcie ciasto, bu-leczka itp. Do sukcesów niezbędny jest dobry refleks, gdyż zacinąć należy błyskawicznie, ale nie za mocno, aby nie rozpruć delikatnego pyszczka.

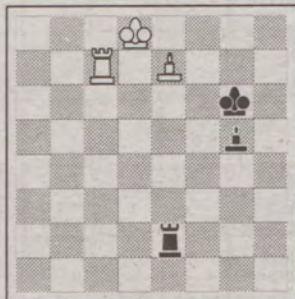
Powodzenia.

(Mat.)

Szachy

pod redakcją Piotra
Sobolewskiego

M. Botwinnik 1941



Prezentowane dzisiaj zadanie - podobnie jak poprzednie - jest owocem analizy końcówki rozegranej partii. Dziś sposób wygranej zaprezentowany w nim przez M. Botwinnika można znaleźć w dowolnym podręczniku końcówek, ale wówczas przedstawiona na diagramie pozycja stała się przedmiotem wielu sporów i dość różnych ocen: część ko-

mentatorów była zdania, że jest remis - część udowadniała wygraną białych. Rację miał ... tylko M. Botwinnik, gdyż wygrana białych istotnie jest jedyną prawidłową drogą do niej - wskazała analiza VI mistrza świata. Mimo pozornej prostoty rozwiązanie zmusza do wysiłku i może się podobać. Nagrody za rozwiązanie zadania z dnia 28.06.96 otrzymują: M. Fortuna 82-220 Stare Pole, ul. Bema 2c /2 oraz P. Grabowski 83-140 Gniew, Plac Grunwaldzki 45/8. Podaję prawidłowe rozwiązanie: 1.Gd5 !! +/-

Jak arcymistrz z arcymistrzem...

Rzadko się zdarza, aby w grze korespondencyjnej doszło do spotkania posiadaczy najwyższego tytułu w grze bezpośredniej i korespondencyjnej. Chcę państwu dziś zaprezentować taki właśnie unikatowy pojedynek, gdzie opo-nentami byli arcymistrz FIDE dr Colin A. Mc Nab - notabe-ne pierwsza szachownica Szkocji na ostatniej olimpiadzie szachowej, oraz arcymistrz ICCF - wielokrotny mistrz Wybrzeża w grze korespondencyjnej, etatowy reprezentant Polski w grze korespondencyjnej - m Zygmunt

Pioch. Aby dopełnić wizytówki obu zawodników dodajmy, że szkocki arcymistrz ma 30 lat i w „życiu pozaszachowym” jest doktorem matematyki, zaś nasz reprezentant jest pułkownikiem Wojska Polskiego w stanie spoczynku.

Jubileuszowy Turniej 50 - lecia Norweskiej Federacji Gry Korespondencyjnej

Partia Angielska
GM Colin A. Mc Nab - CC
- GM Z. Pioch

1.c4 e5 2.Sc3 Sf6 3.Sf3 Sc6 4.g3 Gb4 5.Gg2 0-0 6.0-0 e4 7.Se1 Gc3 8.dc h6 9.Sc2 We8 10.Se3 d6 11.Hc2 b6. Pozycja, która była przedmiotem sporu w meczach o mistrzostwo świata pomiędzy A. Karpowem i W. Korcznojem.

12.f4 ... Pierwszy samodzielny ruch - w dotychczas granych partiach grymano: 12. Wd1; 12. b3; 12. Gd2 - wydaje się, że wykonane posunięcie prowadzi do przestawienia posunięć ale... 12. ... ef 13.ef Gd7 14.f4 Wb8 ! 15.Sd5 ? ... Prosto dusznie zagrane najwyraźniej w nadziei na wariant: 15.... Sd5 16.cd Se7 17.f5 +/- Tymczasem czarne przygotowały niespodziankę: 15. ... b5 !

16.cb Sd5 17.bc Gc6 18.Hf2 ... Pełna zmiana dekoracji - białe nie znajdują się w zmienionej sytuacji i wpadają pod miazdzą pressing partnera. 18. ... Hd7 19.h3 Sf6 20.b3 Se4 21.Hf3 Ga8 22.Wd1 We7! Ku-sił ruch 22. ... Sg5 ale konia z rżędem temu, kto potrafi jednoznacznie ocenić pozycję powstającą po: 23.Hf1 Gg2 24.Hg2 Sh3 25.Kf1! Hg4 26.Wd3 ! We7 27.Hf3 h5 28.Hg4 hg 29.Gd2 Wbe8 30.We1 We1 31.Ge1 g5 ... Ruch w tekście wzmacnia pozycję bez zbędnych emocji. 23.c4 Wbe8 24.g4 Sc5 Początek forsownego manewru prowadzącego do wygranej 25.Hf1 Gg2 26.Kg2 We2 27.Kg1 He7 28.Hf3 We1 29.Kg2 Hh4 30.We1 He1 31.h4 We2 32.Kh3 Wf2! białe poddały się (komentarz Z. Pioch).

Nagrody fundują Salony Sportowe KC: Gdynia ul.Obrońców Wybrzeża; hol Dworca Głównego PKP; Gdańsk DT Sezam.



W brydżu jak w życiu

W dniach 21-28 lipca 1996 r. odbędzie się 36. Międzynarodowy Kongres Bałtycki w brydżu sportowym. Patronat nad kongresem objął Jan Kozłowski, prezydent Sopotu. Miejsce rozgrywek: sale Uniwersytetu Gdańskiego, ul. Armii Krajowej 119-121. Sopot

Program zawodów

Niedziela, 21.07.1996 godz. 10.30 - Otwarcie kongresu

godz. 11 I Turniej Par o Puchar „Dziennika Bałtyckiego” I - sesja

godz. 17 I Turniej Par II sesja

Poniedziałek, 22.07 godz. 17.00 II Turniej Par o Puchar Telekomunikacji Polskiej S.A.

Wtorek, 23.07 godz. 17.00 I Turniej Teamów - o Puchar Zarządcy Gdańskiej-Stoczni Remontowej im. Józef Piłsudskiego.

Środa, 24.07 godz. 17 - III Turniej Par o Puchar Dyrektora PZU S.A. w Gdańsku

Czwartek, 25.07 godz. 17 - Turniej Par Mikstowych o Puchar Delikatesów Bałtyckich

Piątek, 26.07 godz. 16.30 - Mistrzostwa Polski Teamów - odprawa.

godz. 17 - Mistrzostwa Teamów - eliminacje

Sobota, 27.07 godz. 9.30 - IV Turniej Par o Puchar Dyrektora Rafinerii Gdańskiej S.A. - I sesja

godz. 16.30 - II sesja
Niedziela 28.07 godz. 9 - Mistrzostwa Polski Teamów - Finały

ok. godz. 14 - zakończenie kongresu wręczenie medali- pucharów i nagród
W dniach 18-20 lipca odbędą się przed-konkursowe turnieje par. Początek o godz. 17.

Codziennie od godz. 10 będą odbywały się turnieje dodatkowe.

36. Międzynarodowy Kongres Bałtycki w brydżu sportowym

Nie tylko dla filatelistów

Znaczki olimpijskie królują obecnie w emisjach pocztowych całego świata. Wydawane pojedynczo, w seriach, blokach, arkusikach, paskach - cieszą się ogromnym powodzeniem. Polscy filatelisci na spotkaniach wymiennych w kołach PZF uzupełniają swe zbiory, choć niezmiennie trudno jest zdobyć wszystko, przede wszystkim ze względu na finansowych. Zamieszczamy jeden z 4 znaczków wydanych ostatnio przez Poczta Polska.

Jest to znaczek o najwyższym w serii nominale 1 zł (tytuł wynosił opłata zasadnicza za list zagraniczny, do 20 g wagi) lub za grubszy list krajowy (wagi powyżej 100 g do 250

g). Projektant T. Bogusławski przedstawił symbolicznie kolorystykę górską, rysując na osłoneczonym podłożu koło roweru przystosowanego do jazdy w górskim terenie i jego cień. Kolorowe znaczki, wykonane offsetową techniką są oczywiście bardziej czytelne niż odbitki w gazecie. Drugi znaczek o najbliższym nominale - 40 gr (na list miejscowy lub kartkę - widokówkę) przedstawia pierwszy dla polskich sportowców złoty medal olimpijski, zdobyty w 1928 r. przez Halinę Konopacką na IX Olimpiadzie w Amsterdamie. Tło obu znaczków jest podobne: jasnobrunatne. Znaczek za 55 gr (opłata za przesył do 20 g wagi list krajowy), przedstawia na zielonoszarym tle kortu tenisowego jasnożółtą piłkę tenisową. Czytelny symbol tenisa. Na czwartym znaczku o nominale 70 gr (odpowiednim na zagraniczną kartkę

lub świadczenie dodatkowe w obrocie krajowym np. potwierdzenie odbioru listu poleconego, wartościowego, przekazu bądź paczki) autor serii zaprezentował znak Polskiego Komitetu Olimpijskiego, narodową flagę i 5 barwnych kół olimpijskich oraz napisy: Igrzyska XXVI Olimpiady Atlanta 1996 - 100-lecie I Nowożytnych Igrzysk Olimpijskich. Na 2 rodzajach kopert FDC rysunki dyskobolu, kół olimpijskich, cyfry jubileuszowego stulecia i stempel okolicznościowy z dyskobolem. Znaczki drukowane są w arkuszach po 20. Nakład każdego znaczka wynosi milion sztuk.

Dziś wchodzi do obiegu pocztowego znaczek za 5 gr - Wodnik, jutro znaczek o nom. 40 gr z serii „Obchody 200 rocznicy powstania Mazurka Dąbrowskiego”. Obecnie na Helu można uzyskać stosowany 7 bm. w UP Hel 1 stempel

okolicznościowy z rysunkiem latarni morskiej i napisem: 100 lat kąpieliska morskiego Hel. W UP Golub-Dobrzyń 1-18 bm. stosowano ilustrowany datownik okolicznościowy „XX Wielki Międzynarodowy Turniej Rycerski”.

(t)

